



GABRIELA ZAPOLSKA

WDTVI[†] PANSTWI
MMLLE PANSKI

LEKTOR 1923

Wydanie zbiorowe dzieł
Gabryeli Zapolskiej.

KRZYŻ PAŃSKI

DZIEŁA GABRJEŁI ZAPOLSKIEJ
wydane przez „LEKTOR“ Instytut literacki.

- ✓ A gdy w głąb duszy wnikniemy
- ✓ Antysemitnik
- ✓ Córka Tuśki
- ✓ Fin de siecle'istka
- ✓ Jak tęcza
- ✓ I tacy bywają...
- ✓ Janka
- ✓ Kaśka Karjatyda
- ✓ Kobieta bez skazy
- ✓ Krzyż Pański
- ✓ Łza
- ✓ Małuszka
- ✓ Menażerja ludzka
- ✓ Modlitwa Pańska
- ✓ O czym się nie mówi
- ✓ O czym się nawet myśleć nie chce
- ✓ Pan Policmajster Tagiejew
- ✓ Pani Dulska przed sądem
- ✓ Przedpiekle
- ✓ Przez moje okno
- ✓ Rajski ptak
- ✓ Sezonowa miłość
- ✓ Śmierć Felicjana Dulskiego
- ✓ Staśka
- ✓ Szaleństwo
- ✓ Szmata życia
- ✓ We krwi
- ✓ Wieczory teatralne
- ✓ Wirujące myśli
- ✓ Wodzirej
- ✓ Zaszumi las 2 (tomy)
- ✓ Z pamiętników młodej mężatki
- ✓ Znak zapytania

GABRIELA ZAPOLSKÄ

KRZYŻ PAŃSKI

(z cyklu „Fantazje i drobnostki“).



WYDAŁ: „LEKTOR“ INSTYTUT LITERACKI SP. Z O. Ń.
LWÓW—WARSZAWA—POZNAŃ—KRAKÓW—LUBLIN.
1923.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.



884-3

T 78713 L

78713

№ 3989

SKŁADY GŁÓWNE:

WE LWOWIE:

„LEKTOR“, MIKOŁAJA 23.
(DOM WŁASNY) TEL. 525.

W WARSZAWIE:

„LEKTOR“, SIENKIEWICZA 5.
TEL. 253—99.

W POZNANIU:

„LEKTOR“, RATAJCZAKA 33.
Tel. 39-23.

W KRAKOWIE:

„LEKTOR“, RYNEK GŁ. 22.

W LUBLINIE:

„LEKTOR“, SZOPENA 5.

KRZYŻ PAŃSKI.

Skąd się to wzięło takie biedne, krzywe, mizerne w tej rodzinie rostej, rumianej, dobrze odżywionej, prosto sformowanej ?

Dość, że było.

Miało to siedem lat, nie więcej, a wyglądało na cztery. Uszy były duże, przezroczyste, przypięte po obu stronach głowy trochę szpiczastej, (głowy garbatych ludzi).

Te uszy rzucały się przedewszystkiem w oczy patrzącemu, a potem jeszcze jakiś dziwny wyraz całej twarzyczki, wyraz nieśmiały tych, co przechodzą powoli, cicho pod murami, tych, co chcieliby, ażeby ich nie widziano. Nasuwają na siebie anielskie skrzydła, które za nimi tworzą białe tło. Są jakby na tych skrzydłach innym ludziom podani. Ale ci inni ludzie tego tła nie widzą. Oni tylko dostrzegają duże uszy, pokręcone ciało i mówią :

— Tylko zdrowi są estetyczni!

I wystawiają butnie naprzód swoje klatki piersiowe, niepomni, że często w maleńkiej, ubożuchnej klatce, na przeciku, w kącie przypadł ptak o cudownym głosie, podnoszącym

hymnem swym ludzkie dusze w wyżyny,
gdzie ból jest rozkoszą, smutek — urokiem
chwil samotnych, a radość olśnieniem niespo-
dzianem, hałaśliwym i zło wróżącym.

— Tylko zdrowi są estetyczni!

.
Mietek był chory, zawsze chory. Gdy
matka wyczuła krzywiznę kręgosłupa przez
koszulkę „źle rosnącego chłopca“, podniósł
się w całym domu lament i wrzask.

— On będzie garbaty!

Ojciec ze zmartwienia przez kilka dni nie
chodził „do handelku“ na śniadanie. Matka
nie zastanawiała się nad kolorem wiosennego
en tout eas. Garbaty! Ich syn! Tak higieni-
cznie chowany! Najlepszy dowód: inne dzieci.
Cacka! Prościuchne lalki w garniturkach ma-
rynarskich, jak ametysty w złotej oprawie
lśniących loków, albo dziewczynki białe *bou-
les de neige*, całe śnieżne, różowe, z różkami-
poematami w białych kamaszkach. Aż wiało
od nich zdrowiem.

Tylko — ten... Mietek.

A potem — nowy wydatek. Trzeba roz-
począć leczenie. Instytuty ortopedyczne i tam
dalej. Prostują, wyłamują, wyciągają. Może co
poradzą. I codziennie, najprzód z matką lub
ojcem, potem mniej uroczyście z guwernantką
albo sługą idzie szaro ubrany Mietek „do
pana doktora“. Idzie cicho, milcząc, bez opo-

zycji. W sali pełnej dziwnych przyrządów, stołów i pasów, leżą małe dzieci, takie jak on blade i nędzne. Leżą, stoją, wiszą na pasach, rzemieniach, deskach, w smutnej atmosferze i żółtawem świetle sali o ścianach szarych, lśniących lakierem, nieprzytulnych.

Bez protestu na zaciśniętych ustach, same będące tragicznym protestem przeciw tej Grze wielkiej, rozpacznej, która się życiem nazywa.

Mietek zajmuje pomiędzy nimi milcząco swoje miejsce. Czuje, że to jest jego świat — jego ludzie. To coś jakby odcięte od świata, nie związane z nim niczem na chwilę. Zawieszają go na pasach. Zdaje mu się, że podniósł go ktoś na moment jeden ponad ziemię. Chwyta go zawsze strach i rozkoszne uświadomienie, że będzie tak sam, ponad wszystkich choćby sekundę jedną. I gdy go zdejmą i postawią na ziemię, olśniony, ze wzrokiem jakby zamąconym, ma w swej twarzyczce wyraz tych, którzy spojrzeli na świat z od dali, z drugiej strony grobu i odsłoniły się przed nimi zasłony dziwne, na których były pomalowane tylko sceny z życia — podczas gdy prawdziwa treść była za temi zasłonami ukryta.

.....
 Rodzice Mietka mają nawet szczerzy zamiar wysłać go nad morze.

— To mu dobrze stanowczo zrobi! —

mówi ojciec. Matka mówi, tak — i w myśli jej przesuwają się plaże Ostendy, Lida — wszystkich tych nadzwyczajności, o których czytała i słyszała tyle.

— Tak... trzeba — mówi z przekonaniem i myśli.

— Czy ranny plażowy kostjum będzie lepszy z gładkiej flaneli, czy w paski.

— Ale i my pojedziemy! — wołają inne dzieci.

— Nie. Tylko Mietek.

— Dlaczego? Przecież my jesteśmy grzeczne. My się uczymy, a on próżniak nic nie robi.

— Cicho! — mówi surowo ojciec, porajac się z cygarniczką.

Rodzeństwo z zawiścią spogląda na Mietka, który się kurczy i radby wbił się w ziemię, aby już więcej nie było mowy o morzu, o tym wyjeździe, o niczem, co jego dotyczy.

Ale mimowoli, gdy się spać położy, widzi wielką przestrzeń białawo-zielono-srebrnozłotą, a po niej mkną białe żagle — a nad nią się snują jakieś śnieżne ptaki.

A on błądzi po piasku i fale cichutko mu u nóg się kładą.

Nie boi się morza, nie boi się tej masy wody. Przeciwnie, zdaje mu się, że ktoś śpiewa kołysankę, a jakieś miękkie ramiona tulą go ku sobie.

.....

Lecz rodzice Mietka oswajają się powoli z tą myślą, że jeden z ich synów będzie „do niczego“. Przestali go nawet posyłać do instytutu ortopedycznego — a tylko Mietek teraz sypia z jakimś dziwacznym przyrządem przyczepionym u nóg. Dziecko podaje samo wychudłe nóżki pokornie, jakby przepraszając zato, że musi trudzić kogoś, aby je torturował. I potem leży spokojnie, cicho, zaciskając oczy, udając, że śpi. Dokoła niego wre hałas gniazda układającego się do snu, on już skończył swoje dzienne rachunki i teraz ma prawo do siebie samego. Chce myśleć o morzu, ale oto ściska mu się serduszko.

Rodzice nie mówią już o morzu.

Przestali.

A nawet jest mowa, że ojciec jedzie do Karlsbadu, a mama z najstarszą siostrzyczką do Krynicy.

O nim już nikt nie mówi.

Fale morskie będą lśnić srebrem, ale on już ich nie zobaczy. I ktoś będzie w oddali śpiewał kołysankę, ale nie dla niego i ramiona te przytulne... i to wszystkim...

Dzieci się kłócą pomiędzy sobą. Zmówiły pacierze, a teraz się kłócą.

— Ja silniejszy...

— Nie, ja.

— O! Pytlasiński...

— Cyganiewicz...

Jak dwa koguty rozżarte, śmieszne, stoją naprzeciw siebie w swych długich, nocnych koszulkach, podnieceni brutalnością wstrętą cyrkowych zapasów, z których wrócili. Radziby rzucić się na siebie, bić, poniewierać po ziemi, aby wykazać tylko swą siłę.

A Mietek myśli, cierpiąc tortury w swych przykutych do ciężarów nóżkach:

— A morze... morze... takie srebrne... takie cudne... i żagle białe.. i tak tam musi być cudownie... tak cicho.

.....
 Rodzice poszli do teatru. Wzięli ze sobą dzieci, bo grają „Jasia i Małgosię“. Miejsca w łoży było właśnie tyle, ile na rodziców i dzieci, bez Mietka.

— On chory, on w domu zostanie.

— Dobrze, mamusiu!

Wylecieli z szumem, hałasem, wrzawą Dziewczyнки postrojone biało, chłopczyki w nowych garniturkach. Nie pożegnano się nawet z Mietkiem, który jednak grzecznie odprowadził ich do przedpokoju. Guwernantka wzięła go za rękę, manifestując tem, że się nim zaopiekuje. Mama w ładnym, gazowym kapturku odwróciła się z uśmiechem ode drzwi.

— A niech Mieczek będzie grzeczny.

— Już ja go przypilnuję — odpowiedziała panna Julja.

I gdy wszyscy wyszli, zamknęła drzwi, włożyła kapelusz i poszła do przyjaciółki, która obok mieszkała.

— Niech służące uważają na dziecko! — powiedziała surowo do sług, robiących piekło w kuchni ze stróżem o klucz od strychu, „który się gdzieś podział“.

W pokojach Mieczek błądził koło szyb, z których padały długie smugi światła z ulicy i myślał:

— Co ja mógłbym złego zrobić? Dlaczego mamcia to powiedziała? Gdybym chciał być niegrzeczny, to nie wiem, jak się to robi!...

.....

Powoli — ta samotność, ta ciemnica salonu, jadalni, gabinetu ojca, w której ginęły tajemniczo meble, zaczęła go przejmować jakimś dziwnym wzruszeniem.

— W lesie jestem! — myślał — w lesie! Zgubiłem się... dokoła mnie drzewa... krzaki...

Usiadł na fotelu.

— Tak dobrze, tak cicho!

Jakaś radość spłynęła mu do duszy. Zrozumiał, iż życie ma dla niego cudowne chwile.

— Gdy dorosnę, będę zawsze tak sam! Będę taki szczęśliwy!... Światło latarni zabłysło ukosem i oświetliło otwartą paszczę fortepianu, na którym najstarsza dziewczynka odprawiała codziennie łamańce.

— I któż mi będzie ładnie grał? — ma-

rzył dalej chłopczyk — ale grał cichutko, zdaleka, nie tak, jak gra mamcia albo Tyńcia...

Wstał i jak lunatyk postąpił do fortepianu.

— O tak mi będzie grał...

Położył na klawiszach rączki. Nie znał ani jednej nuty. Więc uderzał na prawo i lewo, na oślep. Była to straszna kakofonja. Ale Mietkowi się zdawało, że jest to... melodia. Bo grała mu pieśń dziecięcych, prymitywnych ułud. Grał mu las, a potem cała przestrzeń jasna morza, poznaczona srebrem i bielą żagli. Grały mu fale w tych klekotach szarpanych, tłuczonych klawiszy. Była to wniebowzięta chwila złudzenia. A on sam stał nad brzegiem, jakiś silny, lecz nie tą siłą cyrkowych atletów, produkujących muskuły i klaszczących sobie po karku, lecz siłą, której nie rozumiał a tylko odczuwał. Była ona Mocą tych, którzy potrafią przez to samo, iż istnieją, przez dobroć w sobie zawartą, powstrzymać innych od czynienia źle. Właściwie oni są bohaterami życia, choć nikłem widmem suną się po ziemi...

W Mietku wzrasta owa Moc. Oczy jego rozszerzyły się, pierś nieforemna podała naprzód. Fale mu się garną do stóp, fale-ludzie, gnane rozpędem losu-ziemi, zbuntowane, gryzące brzeg, gryzące serca i istnienia. Lecz gdy go wyczują, gdy do stóp mu przypadną, cofają się korne i tylko jęczą zcicha...

Ręce Mietka dławią klawisze takim jękiem, fortepian wyje, struny drżą.

— Tak płaczą... tak płaczą!... — powtarza Mietek.

I nie wie, czy to fale, czy to jakieś tłumy ludzi, garnących się dokoła niego.

— Chcieli być źli... nie dałem... grozili, chcieli zabijać... niszczyć... teraz się skarżą... Lepiej, niech płaczą...

Te fale, czy ci ludzie.

.....

Nagle drzwi szarpnięte. Smuga światła. Brutalny głos sługi:

— Co Mietek wyprawia? Ci państwo zgóry przysłali, co się tu dzieje!... Mietek, psuje fortepian... wali kułakami ze złości, że go do teatru nie wzięli... Szkaradny Mietek...

— Zła, czerwona, opuszcza ciężko drzewo fortepianu na ręce Mietka. Jemu zdaje się, że go ktoś strącił z wielkiej wyżyny w szare, bezbrzeże, beznadziejne i smutne.

Więc on walił kułakami w fortepian?

Psuł klawisze?

A jemu się zdawało!

Idzie cicho do dzieciennego pokoju. Coś jakby go dławiło. Coś jakby zostawił za sobą, coś bardzo miłego.

— Nogi niech Mietek wyciągnie... założę Mietkowe frykasy — mówi drwiąco gruba,

brzydka dziewczyna — a że Mietek rozwałił fortepian, to będzie dłużej w nich leżał!...

.....

Na drugi dzień „państwo zgóry“ przysłali do rodziców Mietka długi list, w którym dowodzili, iż działy się straszne rzeczy, całe piekło, że dzieci waliły pięściami, a potem chyba kijami w fortepian, że wszystko się trzęsło... Zakończony był ten list słodko kwaśną nauką, co do chowania dzieci, czuwania troskliwie nad dzieciarnią i ostrzeżeniem, że jeśli się to raz jeszcze powtórzy, uciekną się ci państwo do „innych środków“, aby sobie spokój zapewnić.

Rodzice Mietka czuwali bardzo pilnie nad tem, aby mieć nieposzlakowaną opinię w kamienicy, opinię ludzi cichych, doskonale wychowanych i ułożonych.

Rozpacz ich była wielka.

Załamali ręce i patrzyli na siebie.

Przez uchylone drzwi widział ich Mietek i tchu nie miał ze strachu i smutku.

Wreszcie przemówiła matka, cała różowa w fałdach szlafrocza koloru brzoskwini:

— Będziemy mieli z tem dzieckiem! Będziemy mieli!... Och, jak nas Pan Bóg pokarał!...

A ojciec, goląc się starannie; odrzucił:

— Co chcesz, moja droga! Wiesz!... Garbaci są złośliwi, to dlatego...

A matka z westchnieniem dodaje i rezygnacją:

— Krzyż Pański...

I pudruje się welutina...

Lido 1908.

WSPOMNIENIE.

FANTAZJA.

„Le coeur malgré son abandon...
jamais n'oublie!“

...Odłożyć trzeba pióro. Mrok zapada i owija szarą siatką cieniów wszystko, co się dookoła mnie znajduje. Wszystko szarzeje... a pod oknami tłumy ludzi zlewają się w jedną ciemniejszą strugę, poruszającą się bez ustanku. Nad dachami domów niebo szare, ołowiane, ciężkie — sypie na ziemię drobny miął deszczu, który zmieszany z węglem, unoszącym się w powietrzu, opada na chodniki w postaci czarnego, tłustego błota.

Ciężko oddychać, smutno patrzeć; lecz mimo to coś od światła odtrąca i w szarych tych cieniach zagrzebać się każe!...

Napróżno człowiek przez dzień cały pancerz obojętności na piersi swej zaciska! Napróżno, wzruszając ramionami, mówi: „silniejszy jestem nad... to wszystko“; napróżno całą siłą woli przytłumia w sobie gorętsze serca bicie i stara się wmówić w siebie, że to, co umarło, nie zmartwychwstanie. Napróżno!... Razem ze słońca promieniem pancerz

w mgle się rozwiewa — i o tej szarej, biednej godzinie, która jak kopciuszek wolno się przekrada, ginie cała buta, a lód, którym się obłożyć chcemy, topnieje... Serce zaczyna bić żywiej, głowa mimowoli pragnie oparcia, oko mgłą się zasnuwa i czegoś w tej ciemnicy szuka... szuka...

*
*
*

I coś w mogile budzić się zaczyna, w tej mogile, którą z nas każdy ma w sobie. Bo serce ludzkie to jeden wielki cmentarz. Od urodzenia wznoszą się tam mogiłki, czasem biedne, sieroce, opuszczone i smutne, — czasem strojne w koronkowe mauzolea i pełne świeżej woni fiołków wiośnianych. Cmentarz ten sercowy śpi w ciszy pod promieniem słońca lub w odbłasku gazu. I tylko o szarej godzinie groby zaczynają się ożywiać — i z pod mogiłek, odgarniając zeschłe już liście lub świeże kwiaty, wstają mary wybladłe, ażeby w szarych cieniach znikającego dnia wieść powolny, cichy taniec dusz pokutujących... I człowiek, który dzień cały liczył cyfry, lub starał się być oszustem — i kobieta, która uśmiech swój ważyła na szali, a spojrzenia miała tylko dla pereł lub szafirów — czują, że w sercach ich coś się porusza, przemocą ożywia, zmartwychwstaje. Napróżno chwy-

tają notatki i przy blasku znikającego dnia kreślą cyfry z pośpiechem: szary woal tęsknoty wzrok im zasłania. W oddali dźwięczy stara, ośmieszona piosenka; notatki z rąk wypadają...

Serce ludzkie, to wielki cmentarz!...

* *

Ci, którzy w życiu pozują na ludzi z kamiennymi sercami, mówią, że o wszystkim zapomnieć można.

Kłamstwo!

Jakże zapomnieć można chwil łzami i krwią w księdze życia znaczonych? Jakże zapomnieć dni, w których dusza rwała się na strzepy, a serce zdawało się być jedną wielką raną? Jakże zapomnieć znów uśmiechu losu, uśmiechu przelotnego, wiodącego za sobą rozpacz bezdenną? Jak zapomnieć radości godzinnej, którą się opłacało latami cierpienia? I jakże z pamięci wymazać kroplę rozkoszy, tonącą w morzu goryczy, lub zjawisko promienne, krepą żałoby przyćmione?... Los — toć wierzyciel nieubłagany. Nic darmo ci nie da! Wszystko płacić musisz, i to natychmiast, bez zwłoki. Za promień słoneczny zapłacisz nocą bezsennością; a jeśli dłoń losu kwiat ci poda, to tylko poto, aby go złożyć na darniowej mogile!

Zapomnieć?...

kwiaty rzucała ci pod stopy — to jeszcze o szarym zmroku posłyszysz dookoła siebie słowo, które zabije woń kwiatów, zaćmi blask drogich kamieni, zniszczy dumę z nabytej wiedzy.

-- „Pamiętasz“ ?...

I jakieś śmieszne, a mimo to rzewne, dziecinne, a przecież już dojrzałe wspomnienie przyplącze się do ciebie, wgrzyzając się w duszę twoją. I ujrzysz się wtedy marnem, bezsilnem stworzeniem, drżącym przed wskrzeszoną marą i powtarzającym jedno słowo, dźwięczące w przestrzeni:

— „Pamiętasz“ ?...

* *

Ci, którzy pamiętać nie chcą, ci pamiętają najlepiej! Ach! Wszyscy muszą pamiętać, czy to w purpurę spowici, czy nagiem ciałem przez łachman błyskający. I Chrystjan, król duński — konał, dręcząc się wspomnieniem lat swoich dziecinnych; i biedna wyrobnica, patrząc na pustą kołyskę zmarłej córeczki, pyta męża:

— „Pamiętasz“ ?...

A on potrzęsa głową, jakby chciał zaprzeczyć — jakby chciał odpowiedzieć: „Nie, nie nie pamiętam, dawno zapomniałem“ !...

A jednak... pierś pod grubą bluzą podnosi się westchnieniem, ręka od pracy zgrubiała drży nerwowo i przed oczyma tego, który „dawno zapomniał“ — wśród prątków kołyski bieleje drobna postać dziewczki, która klęcząc w długiej koszulce, wśród białych poduszek — współsensnym głosikiem odmawia modlitwę wieczorną.

A on, ten człowiek, zda się ze spiżu odlany, który żywi się własnym potem i krwawiąc swe dłonie bez jęku, chleb powszedni zdobywa — ociera ukradkiem łzy, srebrzące się pod powieką, i wciąż odpowiada:

— „Dawno zapomniałem“!

* * *

Czasem dwoje ludzi stanie naprzeciw siebie, dwoje ludzi — mężczyzna i kobieta — którzy lata całe nie widzieli się i przeżyli zdala od siebie.

Ludzie ci stoją i patrzą na siebie, a pomiędzy nimi mara spowita w pajęczą tkanę tęsknoty, zwolna się kołysze, nucąc cichą piosenkę miłosną, której każda strofka zaczyna się od słówka: „Pamiętasz“?

A oni — zapatrzeni w siebie, żyją cali przeszłością, tą przeszłością, która ich w objęcia sobie rzuciła, otaczając wieńcem snów

promiennych i marzeń o... wspólnej przyszłości.

Los kazał im się rozejść, tym dwojgu, którzy duszę sobie z ust wypijali i chwilami zdawali się istnieć tylko dla siebie; na świata krańce poszli oboje po inne życie i inne uczucia, i zdawało się im, że to wszystko zagaśło, zamarło i będą się mogli oboje zejść kiedyś spokojnie, łącząc w ściśnięciu dłonie.

A jednak... stoją teraz naprzeciw siebie, milcząc, i ręce im opadają bezsilne, a pomiędzy nimi, jak nuta harmoniki szklanej, brzmi ciągle słowo:

— „Pamiętasz“?...

* * *

Często na ruinie własnych marzeń i pragnień stanie człowiek smutkiem złamany i powoli, powoli grzebać wśród gruzów tych zaczęnie. I sam rani się dobrowolnie, dotykając tych kolumn podruzgotanych, które on w poście czoła wznosił w górę, pragnąc z nich uczynić podstawę i rozpostrzeć na nich dach, pod który chroniłby się w chwili burzy lub słoty życia. I liczy, liczy ciągle, ile lat, tych najpiękniejszych, poświęcił złudzeniom, — ile czasu oddał marzeniom o dojściu do tego, co ludzie przywykli nazywać... doskonałym szczęściem. Każda kolumna strzaskana, to jedno

złudzenie w pył rozwiane, to skaza na duszy, która, jak brylant, bez skazy była i taką zostać pragnęła. Każda kolumna, to ołtarz jakiegoś bóstwa, które się czcić chciało i w czci tej czerpać potęgę do walki. Lecz... bóstwo w proch się rozpadło i ołtarz runął, wydzierając z młodego serca jedno wierzenie więcej, niweczając jeszcze jedno złudzenie. I powoli nic nie pozostaje! Nic, czemuby bezwzględnie ufać można; a przecież... człowiek w chwili ostatecznego zwątpienia do ruin się zwraca i z tych ruin jeszcze coś odszukać pragnie.

I czasem... dłoń samobójcza opadnie, bo pośród zgliszcz i zwalisk nagle błękitny, drobny kwiat zakwitnie, a kwiatem tym... „wspomnienie“ !...

* *

Więc ty nietylko łzę i tęsknotę dźwigasz na swych skrzydłach, ty współsenna maro, która o szarej godzinie wpośród nas przebywasz? — Jak strumień wody, jak promień słońca, tak obecność twoja i rozmarzenie, w jakie nas wprowadzasz, konieczne jest dla dusz naszych, zbiedzonych, starganych walką o chleb powszedni! I choć nam dusze ranisz bezlitośnie, ukazując minione bezpowrotnie chwile, toć przecież my czekamy na ciebie drżąc, gdy się zbliżasz, wsłuchując się w kryształiczny dźwięk twego głosu, kryjąc twarz

łzami zalaną w fałdy sukni twojej!... W okrucieństwie swoim, targając nam bez litości zbolełe serca, dodajesz siły do życia i terazniejszość dozwalaś zamienić chwilowo w przeszłość ukochaną! Gdyby nie ty, nie mielibyśmy łez dobrych, które nie boją, — poeci by milczeli, a pieśń tęsknoty pełna nie brzmiałaby w powietrzu!

Światło cię płoszy .. zmrok wieczorny jedynie owija postać twoją! Lecz z szarej sukni twojej bije blask natchnienia, blask świetlany, promienny!... Choć obecność twa mogiły otwiera — nie znikaj! Pozostań dłużej, siejąc łzy i tęsknotę... Łzy te smutek ukoją; tęsknota... bunt duszy przytłumi!

SZCZĘŚCIE.

Jak cień przemknęła twoja mgława postać! Jeszcze srebrna smuga rozjaśnia pomrokę nocną i czuć woń hiacyntów i jaśminu, któremi masz uwieńczone pogodne czoło... Śmiech dźwięczy w powietrzu, piosenka dobiega, która do snu kołysze... Lecz ciebie tu niema, ty niepochwytna maro!... I próżno wyciągam ramiona... próżnia dookoła mnie, próżnia, w której tylko majaczy twoje wspomnienie.

O szczęście, ty jasna, a przecież zamglona maro, z czego ci skuć kajdany, byś więcej w czarną otchłań nie ulatywała?

Odpowiedz!... Odpowiedz!...

*

*

*

Lecz ty milczysz, wyniosła i pogardliwa istoto, bielejąc zdaleka, jak skrzydła marmurowych aniołów w cmentarnym półcieniu. Milczysz, jak sfinks lub srebrna tafla jeziora, w którego głębinach cały świat się mieści. Dookoła ciebie rozpacz, smutek, zwątpienie... jednym ruchem twego białego płaszcza wszyst-

kie te żałobne kruki ulecą w bezdenne otchła-
nie, jeden uśmiech rozjaśni horyzonty, uśpio-
ne duchy z grobów egoizmu obudzi i samo-
bójcy z ręki broń morderczą wytrąci! Jeden
ton twej piosenki konającym żyć nakaże,
w bratni uścisk zwaśnionych połączy, piętno
geniuszu na czole wybranych wyciśnie... Tyś
wszechpotężne, wszechwładne, tyś mocarzem
świata! Spojrzenie twe łaskawe, to poczęcie
wielkich czynów, odrodzenie z grzechów,
zmarłych powstanie z letargu!.. Tyś z tchnie-
nia litości Bożej powstało i uśmiechem swym
litość, jak brylanty, w pomrokę ludzką rzucasz!

O szczęście! Tyś dowodem Boskiego
istnienia!...

*

*

Lecz gdzie twe stałe siedlisko, ty gwiazdo
promienna, przy blasku której gaśnie nawet
jutrzienka?... Widziałam cię wszędzie! Lecz
wszędzie tak krótko!.. Jak złote słońca pro-
mienie ślizgałaś się po strunach harty eol-
skiej, lub dźwięczałaś w pieśni Anakreonta.
I czarem swym opromieniałaś twarz chrze-
ścijańskiej dziewicy, gdy stała w kręgu cyr-
kowym, a u nóg jej leżała biała róża, z osta-
tniem rzucona pożegnaniem!.. W oczach For-
nariny błyszczałaś przeczystym ogniem i sre-
brzyłaś się w łzach Magdaleny, schylonej

u nóg Chrystusa. Gdzieżeś ty nie miała przelotnego odbicia, ty gwiazdo promienna? Jaśniałaś w oczach parjasa, gdy znalazł pożywienie, i dźwięczałaś w pieśni Nerona, gdy Rzym gorzał jak wielka pochodnia!... Wszędzie byłeś bezcielesny, a przecież widoczny, duchu, ty jeden może nie będący baśnią przeszłości. Z raju wyniosła cię Ewa w złotych swoich splotach, uśpionego w kielichu różowego kwiecia. A gdy strudzona usiadła nad rzeką, kwiat wypadł jej z włosów i ty popłynąłeś w dal, aby się błąkać i ludziom zostawić... wspomnienia!...

Tylko... wspomnienia!...

* *

Gdzież bo ty się nie błąkasz i skąd ty nie uciekasz? Wszędzie cię spotkać można; lecz zaledwie ramiona wyciągnięte ku sobie zobaczysz, uciekasz, jak bańka mydlana, i krążysz dookoła, przyczyniając tylko bólu i wielkiego smutku. Ja cię widziałam już nawet w oku nędzarza, gdy głód swój zaspokoił; spotkałam cię na progu balowej sali, uczepioną u ramienia upudrowanej kokietki! Tylko w tej sali balowej zdawało mi się, że jesteś jak z musu... woń twych hiacyntów przytłumiała Veloutina, a dźwięk twego śmiechu zagłuszały tony banalnego walca. Gdy upu-

drowana dama zaczęła tańczyć z wymuskany młodzińcem, plątałaś się w fałdach jej morowej sukni jakoś sennie... niechętnie... aż wreszcie zniknęłaś!... Dama po twym zniknięciu śmiała się jeszcze ciągle i zdawała się być bardzo wesoła. Tylko na karnećniku balowym napisała w roztargnieniu: „smutno mi“... a kąćki jej ust drżały...

Wzrokiem szukała czegoś, czy kogoś w sali.

Może ciebie? A może tego biednego chłopca, studenta, który pełnił tego dnia służbę honorową w sali balowej?...

Wyszliście przecież razem. Widziałam was, jakęście powrócili do „jego“ pokoiku, małego, zimnego schronienia, zarzuconego masą zeszytów i książek...

Siedliście razem do pracy.

On pisał rozprawę, a ty zaglądałaś mu ciągle w oczy, nasuwając wspomnienie drobnej główki kobiecej.

Ale nie była to główka z balowej sali, upudrowana i pękiem werweny ozdobiona, — to była główka spokojna, cicha, marząca.

On pisał rozprawę i do główki tej dziewczęcej się uśmiechał. Hiacynty twego wianka pachniały znów jak dawniej, piosenka dźwięczała w powietrzu ..

Nagle świeca dopaliła się i zgasła — student pozostał w ciemności, zimnie i o głodzie. Marząca główka zniknęła, a ty, kapry-

śne szczęście, pierzchnęłość, zabierając ze sobą uśmiech, piosenkę i jasność.

Lecz z wianka twego odczepił się jeden hiacynt.

Upadł tuż u nóg studenta.

Biedny chłopiec podniósł go i do ust przycisnął.

Ten kwiatek to była... nadzieja!

* * *

Nie widziałam cię długo, aż wreszcie dojrzałam cię ulatujące z celi zakonnika. Uciekłość, zabierając spokój i abnegację zupełną. Wiem, gdzie się schroniłaś, ty biała maro — w firanki, otaczające kołyskę śpiącej dzieciny. Tam byłaś chwileczkę tylko, bo dziecko umarło, biały aksamit trumienki spłoszył cię... pobiegłaś płynąć falą oklasków, wynagradzających sławnego śpiewaka za górne c, wyrzucone z piersi. Lecz ozwało się nagle gwizdanie i zagłuszyło oklaski, a ty uleciałaś, zbierając fałdy swej szaty. Potem bielowałaś w pośmiertnej woli bogatej filantropki i różowiłaś się na policzkach biednych dzieci, bawiących się pod cieniem lip pachnących. Siostry miłosierdzia mają cię niekiedy w fałdach swych habitów, gdy wchodzą do celi warjatów, a czasem z brzękiem muszki wpadniesz do ciemnicy więziennej i budzisz przestępcę z uspiew-

nia. Czasem błyskasz pod hełmem zwycięzcy, gdy przebiega plac boju, zasłany trupami. Ale majestat śmierci i duma, bijąca z twarzy tych, którzy na wieki posnęli, każe ci prędko opuścić pole walki.

Więc nigdzie stale nie przebywasz, ty przelotny ptaku? Niema cię w purpurze królewskiej, ani w parcianej koszuli oracza! W łańdach firanek, otaczających łoże kobiety w sukni oblubienicy, w uśmiechu sławy, w brzęku pieniędzy gościsz tylko chwilowo! Jesteś w szmerze pocałunku, w szale zmysłowych porywów i siadasz u domowego ogniska.. Lecz płoszysz się ciągle, ty cygańska ptaszyno i łzami uśmiechy płacić każesz, a piosenkę jękiem zagłuszasz...

Czem cię przebłagać? Czem cię zakuć na wieki? Czem skrzydła ci związać?

Odpowiedz, szczęście! Odpowiedz!...

Lecz nagle — we mgle mych wspomnień ty majaczysz jasnością najwyższą.

Z ponurych mroków występujesz uwięzione, zakute na wieki, a mimo to jeszcze promienniejsze, jeszcze piękniejsze..

Uwięziła cię ręka ludzka, pochwycił cię geniusz malarza, a zrodziło cię tchnienie wszechpotężnej miłości..

Tak! Tak! Bez motyli skrzydeł błyszcząłeś do mnie z szarego tła obrazu — i odrazu stanęłam jak przykuta przed tobą i przez łzy

patrzyłam na twą wielką, nieskończoną pięknosc.

Nie miałaś wianka hiacyntów na twych skroniach, o bezcielesna maro! I twa piosenka nie brzmiała weselną nutą. Uwięziona w rysach zmarłej, tyś brzmiała wielkim hymnem oswobodzenia! Dookoła śnieg, lód, pustkowie... dookoła wieczna, straszna zima. I tylko przy zmarłej zrozpaczony łka człowiek, dla którego ona, święta, wielka, nieustraszona, poszła w taką noc mroźną, krwią swych stóp poranionych znacząc ślady na zamarzłej grudzie. Ty, szczęście, tyś przyszło razem ze śmiercią i wstąpiło w to martwe ciało, ożywiając je uśmiechem, w którym część Boga świeci. Tyś z twarzy tej nieszczęsnej, której ciernie w ręce i w nogi powrastały, a włos od modłów zbiegał i wargi skarg zapomniały — tyś w tym trupie zamarłym w podziemnej jaskini zaświeciło najjaśniejszym blaskiem, bo blaskiem... łez!

A blask ten do sere naszych trafia — ogrzewa — oświeca — budzi!

* *

A więc i ciebie oświecić można wielką potęgą przeczystej miłości! Umiesz przylgnąć do zastygłych ust trupa i całą tragedję cichego poświęcenia przed nami roztaczać! Nie

w gwarze i wirze światowym, lecz tu, przy łożu śmierci, szukać cię należy!

I modlić się do ciebie trzeba — tak wielki od ciebie bije majestat, i głowę chylić przed potęgą twoją i milczeć... a myślą w przeszłość sięgać! Lecz nie w przeszłość śmiechu i zabawy, ale mogił, cierpienia i bólu...

Ty tam jesteś, tam, pomiędzy grobami się błąkasz, kołysząc do snu znękane trupy — owijając je fałdami szat swoich, nucąc im hymn przebaczenia...

O szczęście! Ty łzawe, smutne szczęście!... Ty, które na cmentarzach tak chętnie przebywasz...

MĘSKA ŁZA.

Więc nie cię nie poruszy
Nawet męska łza?

Z Opowieści Hoffmana.

— ...ten czysty, jasny kryształ migocze mi jak gwiazda na ciemnem niebie zwątpienia mego. Męska łza!... toć to uplastycznienie boleści bohatera, to jęk lwa zranionego, skarżącego się słońcu. Męska łza... to cała pieśń bez słów, drżąca w tej kropli, którą nadmiar cierpienia do źrenic sprowadza. I wielką musi być boleść taka, boleść, która łzę z oczu „panów stworzenia“ wyciska. I wielki musi być smutek taki, co im głowę ku ziemi chyli, a pierś łkaniem rozrywa! „On“, ten dumny, nieugięty, zimny, egoista, samolub zaskorupiały w swych uciechach, „on“ płacze! Głowę chylę przed potęgą takiego bólu, co sercem tem wstrząsnąć zdolen, a gdy wynikiem jego łza, ta łza, która świeciła w oku Chrystusa, zwilżała oko Agamemnona, spływała w uśmiechu Heinego.. milknę i wierzę!

Łza taka mnie rozbraja!

Jedynie jeszcze „jego“ łza...

Kuzynka Micia spokojnie wysłuchiwała słów moich.

Gdy skończyłam, spojrzała na mnie, a ironiczny uśmiech okrążył jej usta.

Położyła robotę na stojącym obok stoliczku, a wstając powoli, pociągnęła mnie we framugę okna.

— Chodź — wyrzekła — i daruj mi, że ja to właśnie rozwieję twą ostatnią ułudę. Nauczę cię nie wierzyć... męskiej łzie!

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Jakto? Ona, ta poetyczna, egzaltowana istota, której nie widziałam od lat ośmiu, miałaby nawet nie mieć takiej ułudy?

Odkąd ją znałam, była niepohamowanie egzaltowaną kobietą. Nieraz dziewczynkami młodemi sprzeczałyśmy się o świat i jego czyny. Ona — krańcowa optymistka, wierząca w cnotę, ideał, miłość, kwiatki, ptaszki i... owce; ja — widząca wszędzie czarno, czarno i czarno.

Dziś role nasze się zmieniły.

Micia, którą sądziłam optymistką nieuleczalną, po pięcioletnim pożyciu małżeńskim mówi o rozwianiu mojej ostatniej ułudy!

Życie więc jest lepszą szkołą, aniżeli przypuszczałam.

Lecz przez cóż przeszła ta idealistka z błękitnymi oczyma? Jakież przeciwności i roz

czarowania uderzały w nią jak gromy i rozdzierały tę tkanę iluzji, jaką się otoczyła?

Ona w nic nie wierzy, nawet... w męską łzę!

Od chwili opuszczenia pensji straciłam ją z oczu. Z listów, które pisywała do mnie, wiedziałam, że była zawsze jeszcze różowo i tkliwie usposobiona; listy jednak stawały się coraz rzadsze, choć egzaltacja potęgowała się w nich stopniowo. Nagle korespondencja nasza ustała. Kuzynka została żoną, poczem matką — wiedziałam to, mieszkając poza granicami kraju, z ust obcych, ale ona sama nie odzywała się wcale.

I dziś po tylu latach, zeszyliśmy się znowu pod jej dachem, w domu jej męża, człowieka atletycznej postawy i właściciela czwórki najpiękniejszych tarantów na cały powiat... Co mówię... na całą gubernję. Rozmawialiśmy długą chwilę — Micia milczała przeważnie, szyjąc powoli równemi ściegami jakąś błękitną sukieneczkę dla córki. Uważałam w niej wielką zmianę, ale zmiany tej dokładnie określić nie mogłam. Fizycznie kuzynka moja zaokrągliła się, wypełniła, rozrosła i... ogorzała od promieni słonecznych. Moralnie zaś... ale pozwólmy — niech mówi sama za siebie, niech zdziera ze mnie ostatnią ułudę. Jako uleczonej, pozwala się jej... leczyc na wzajem.

Stanęliśmy więc w oknie i nagle oblały nas potoki zachodzącego słońca. Dokoła nieprzebrana moc zieleni, tej zieleni wiejskiej, zdrowej, młodej, jak jagody małodyc, stojących na progu chaty; w oddali migoce staw, porośły tatarakiem, pokryty zielenią i bielą kwiatów wodnych. Od pól i łąk wiał zapach skoszonej trawy i wysychającego siana. Ostra woń macierzanki i rumianku dominowała nad innymi. Natura z całym swym bogactwem rozciągała się przed nami.

Na kraju horyzontu czerwieniły się szmaty chmur, obramowanych złotem. Niebo zmieniło się w purpurę i fiolet. Słońce szło na spoczynek po pracy dnia całego.

Na progach chat stały kobiety, zasłaniając oczy i patrząc na drogę, którą szło całe stado krów, pędzonych przez bosych wyrostków i wpół nagie dzieci. Krowy szły wolno, klekocąc drewnianymi kołatkami, zawieszonymi u szyi; wyrostki śpiewali piosenkę, trzaskając z długich batów i podnosząc tumany kurzu.

Chwilkę patrzyliśmy na tę wieś, idącą wraz ze słońcem na spoczynek. Wszystko przycichało zwolna i wpadało w półsenne rozmarzenie. Kobiety zniknęły z progów, było wchodziło do swych zagród, dzieci wbiegały do chat, słońce zapadało coraz niżej.

Horyzont mienił się barwą ciemnego szafiru z purpurowym odblaskiem, słońce staowało się ciemną plamą i powoli znikło za wzgórzem. Teraz całe niebo pokryła szara, jednostajna zasłona, błękit powoli przechodził w stalową barwę.

Niebo obumierało.

Micia zdawała się czekać tej chwili. Zdaje się, że chciała mi pozwolić, abym ze złudzeniem w sercu przyjrzała się raz ostatni zachodzącemu słońcu, Razem z ostatnim promieniem słonecznym zniknąć miało i z duszy mojej słoneczne, ostatnie złudzenie.

Micia oparła się o ramę okna i powoli, stłumionym prawie głosem, zaczęła:

— Wiesz, jak byłam egzaltowaną panienką. Tobie mówić nie mam potrzeby. Wychowanki murów klasztornych, cierpimy wszystkie na blednicę i egzaltację. Nie wiem, co nas tak upaja: czy niezdrowy dym kadzielnic, czy słodka pokora zakonnic, czy ich biały z błękitem habity. Nie wiem, nie badam, dochodzić nie chcę. Wiem, że córka moja chować się będzie pod okiem matki i zawczasu cerę jej słońce opali; pacierz swój wieczorny odmawiać będzie pod sklepieniem nieba, a nie w mistycznej ciszy kaplicy, pełnej tajemnic, cieni i rozmarzenia. Córce swej dam zdrowie wiejskiej dziewczyny i jej czystą, nieschorowaną, a mimo to pełną piękną

duszę. Na to murów klasztornych nie trzeba. To rozmarza, roztkliwia i każe od życia wymagać woni fiołków i zapachu lilij.

Świat przecież niezawsze fiołki i lilje ma dla nas tylko w zapasie.

Wyszedszy z klasztoru, powróciłam do domu, gdzie spotęgowała się egzaltacja moja. Wiesz, że jestem sierotą — podwójną sierotą. Wychowaniem mojem zajmowała się ciotka, biedna istota, zrodzona w pierwszej połowie naszego stulecia, wtedy, gdy „Modlitwa dziewicy“ rozbrzmiewała dokoła. I wspólnie we dwie dopomagałyśmy sobie w kroczeniu po krainie fantazji; jej staropanieńskie serce roztkliwiała się bezustannie w daremnem oczekiwaniu na tego, który nie przybywał, — moja zaś dziewczęca wyobraźnia stroiła tego, który miał przybyć, w najpiękniejsze szaty, niby Kirkora w baśni.

Królewicz mój miał być piękny, kruczowłosy, bladolicy, błękitnooki, smukły, szlachetny, rycerski, śmiały, poetyczny, wzniosły, słowem miał to być ideał, przy którym wszyscy bohaterowie bledli i w pył się rozsypywali.

Ciotka Pelagja chętnie rozmawiała ze mną o tym bajecznym utworze mej wyobraźni. I ona unosiła się wraz ze mną w krainę ułud i fantazji, stawiała coraz nowe wymaga-

nia — żądała, by mój przyszły pisał wiersze w „sztambuchu“ i grywał na cytrze.

Ja byłam jeszcze zuchwalsza.

Marzyłam o przejażdżkach po jeziorze przy księżycu, o wypadku, przewróceniu łodzi, ratunku i... wdzięczności dla mego wybawcy.

Powoli egzaltacja przeszła w stan chorobliwy.

Podsycana imaginacja tworzyła coraz to wspanialsze obrazy — dniami i nocami całemi widziałam przed oczyma memi twarz pięknego bruneta o wielkich, błękitnych źrenicach, wpatzonego we mnie z wyrazem bezgranicznej miłości, ale i pełnym rycerskiego szacunku.

Wyobraźnia pracowała gorączkowo.

Wychudłam, pobladłam jeszcze bardziej — nie jadłam obiadu, żywiłam się galaretą i nie-dojrzałym agrestem, płakałam o szarej godzinie i ubierałam się biało, jak Ofelja cierpiąca na pomieszanie zmysłów.

Nieraz późną nocą snułam się po szpalerach ogrodu, a dziewczki w piekarni mówiły, że „do panienki musi złe przystąpiło“.

Ciocia, zamiast zaaplikować mi codziennie szklankę gorzkich ziółek i ze sześć pigułek żelaznych, wzdychała wraz ze mną, marzyła, a o szarej godzinie brzdąkała „Modlitwę dziewicy“.

Było to śmieszne, chorobliwe istnienie dwóch niezdrowych, bezkrwistych kobiet, trawiących się w egzaltacji i niedorzecznem rozmarzeniu.

Wreszcie ideał mój miał znaleźć uplastycznienie.

Pewnej niedzieli, na sumie w parafjalnym kościółku dostrzegłam wysokiego, pięknego bruneta, wpatzonego we mnie z wyrazem upornej ciekawości. Teraz wiem, że nie było to nic więcej, jak tylko ciekawość, ale ja doznałam wstrząsającego wrażenia. Serce moje było, niby wosk rozgrzany, gotowe do przyjęcia wycisku pieczęci. Pieczęcią tą były w tej chwili oczy bruneta, w których wyobraźnia moja wyczytała cześć i uwielbienie. Zapomniałam wówczas, że byłam jedną z najbogatszych panien w okolicy, że wieś moja czysta jak... męska łza, że gorzelnia daje doskonały dochód... O wszystkich tych drobnostkach zapomniałam. Chciałam być kochaną dla swej mizernej istoty.

Wróciłam do domu z silnym bólem głowy i z gorączkowemi wypiekami na twarzy. Znalazłam swój ideał!

Ciotka zaaprobowała mój gust i wydała wyrok, że rzeczywiście ów brunet może być moim ideałem.

Czyż potrzebuję ci mówić, że ideał w krótkim przeciągu czasu został mi najprozaiczniej

zaprezentowany podczas jakiejś sąsiedzkiej majówki, pomiędzy stosem kurcząt i mizerji ze śmietaną?

Serce mi biło bardzo mocno i ze zmieszania nałożyłam sobie cały talerzyk mizerji, co wywołało olbrzymie zdziwienie ze strony mej sąsiadki

Wiedziano bowiem, że żyję jedynie rosą kwiatów i galaretą z nóżek cielęcych. Ideal jednak mój nie odstraszył się tą ilością mizerji — owszem, uśmiechnięty, zapatrzony w oczy moje, rozpoczął rozmowę, z początku banalną, powoli jednak wpadającą na niebezpieczne tory i manowce.

Byłam dnia tego w dziwnym nastroju, prawilałam same brednie, a on słuchał z pobłażliwym uśmiechem nauczyciela, któremu dziecko opowiada bajki w godzinie rekreacji.

Gdybym była mniej rozgorączkowana, powinna byłabym zauważyć ten uśmiech, jako też uwagę, z jaką zdawał się mój ideał notować sobie w pamięci wszystkie moje zapamiętania i poglądy.

Mieszkał w sąsiedztwie wraz z matką i siostrą, panią czerstwą, rumianą, żywą, nieposiadającą wielkiej mej sympatji. Że dawniej go nie widywałam, pochodziło to stąd, że studja agronomiczne odbywał w jednym z zakładów zagranicznych i dopiero od tygodnia przybył w nasze strony. Mówił mi wiele

o swem zamięłowaniu natury, o zachodzącym słońcu, o jego blaskach, o prozie codziennego życia, o potrzebie poezji, miłości i idealnych, niepochwytłych uczuć.

Pierwszy to był człowiek, który mnie zrozumiał, pierwszy — bo nawet ciocia Pelasia nie trafiła tak w mój ton i nie umiała poddać tak właściwej nuty mej chorobliwej fantazji. Wprawdzie uśmiechał się przytem i chwilami patrzył na mnie jakoś dziwnie, jak lekarz na chorego, ale ja nic nie widziałam, nic nie czułam, — wiedziałam tylko, że jestem szczęśliwą, odczuta, zrozumianą, *wniebowziętą!*

Jak długo trwała nasza rozmowa, nie wiem, — odgłos muzyki hałaśliwej nam przerywał. Zaczynało się zmierzchać, służba rozwieszala na drzewach i zapalała kolorowe lampjony, pary stawały do kontredansa, dzieci zasypiały na stosach szali, pledów i poduszek powozowych.

Towarzysz mój wstał, podał mi rękę i poszliśmy tańczyć wraz z innymi.

Chodziłam jak senna; panienki śmiały się wesoło dokoła mnie, ja rozmarzona ledwo dotykałam ziemi.

Znalazłam swój ideał!

Po skończonym kontredansie zbliżyła się do mnie Mazia, siostrzyczka mego tancerza. Uśmiechnięta, zarumieniona, wydała mi się

pospolitą w swej kretonowej różowej sukience.

Porwała mnie pod rękę i pociągnęła pod drzewa.

— Bój się Boga, Miciu! -- zawołała ze śmiechem — o czym ty rozmawiałaś z moim bratem? Wszak on tylko o swoich cetrach, taksach, flintach, koniach i yorkshirach mówić umie. My, panny, nigdy z nim nie rozmawiamy! Chyba, że i ty znasz się na yorkshirach?

Spojrzałam na nią z politowaniem. Wydała mi się pierwiej pospolitą, teraz jednak była małoduszną i śmieszną.

— Tak, Maziu, mówiliśmy o yorkshirach, odrzekłam z odcieniem wyższości.

Zdziwiona, spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. Po chwili widziałam, jak w grupie swych rówieśniczek opowiadała coś z wielkim zajęciem. Zapewne mówiła o mnie i o swoim bracie. Wszystkie panienki śmiały się serdecznie. Ale mnie śmiech ten nie dotykał. Czułam się wyższą nad nie wszystkie.

Znalazłam swój ideał i nie dbałam o świat cały...

Kuzynka moja umilkła na chwilę, jakby oddając się wspomnieniom. Ja patrząc na nią, tak zdrową, tak świeżą, pełną życia i energii, dziwiłam się w duchu przewrotowi, jaki nastąpić musiał w tej kobiecie, która, według

słów własnych, była lat temu kilka „pianką z mgły i galarety“.

— Pomijam szczegóły kroków przedwstępnych — ciągnęła dalej kuzynka. — Znasz te nudne wiejskie wizyty dwóch rodzin, pragnących zawiązać małżeństwo; wszystko odbyło się po formie: wizyty, rewizyty, sążniste bukiety, oświadczyny w altanie na klęczkach, z pyzatym księżycem na świadka, potem oświadczyny w pokoju, potem w salonie przed ciocią Pelasią, potem prośba jego matki, potem zaręczyny, aż wreszcie oznaczono dzień ślubu.

Ja pływałam w błękitach.

On nie zmienił się ani na chwilę. Czuły, tkliwy, rycerski, kochał, przysięgał, marzył i śpiewał wraz ze mną. Żyliśmy w krainie fantazji, budowali kryształowe zamki i nabijali je ćwieczkami poezji.

On sam mi te ćwieczki znosił, czasem w takiej ilości, że czułam się niemi utrudzoną.

Ludzie dookoła dziwili się tej zmianie, jaka w nim zaszła. On, gospodarz wzorowy, myśliwy zawołany, on, miłujący do tej chwili tylko gospodarstwo, inwentarz, pola swe i pługi, on, rozmawiający z pannami o płodozmianie, yorkshirach i baranach Negretti, on stał się czułym Celadonem i wzorem trubadura średniowiecznego.

Według mych ówczesnych pojęć, nie była to zmiana. On był tylko niezrozumianym przez świat i krył w sobie skarby uczucia i poezji, — bo pocóż rozrzucić kosztowności pod stopy istot, nieznających się na ich cenie?

Ze mną odrzucał przybraną maskę i stawał się sobą.

Byłam dumna z tego i szczęśliwa. Zdrowie jednak moje coraz bardziej słabło; były chwile, w których lękano się o mnie: anemja dochodziła do możliwych granic.

Zadecydowano więc wyjazd do kąpiel morskich i to w jaknajprędszym czasie. Po powrocie odbyć się miał ślub. Narzeczonny mój nie mógł nam towarzyszyć. Zajęcia gospodarskie, a przytem przygotowywania naszego gniazdka, wymagały koniecznie jego bytności. Złorzeczyliśmy prozie życia, ale ulec było trzeba.

Już kilka tygodni bawiłam w kąpielach, patrząc na morze, wzdychając i mocząc się w słonej, zielonawej wodzie. Tęskniłam za wybranym mego serca i zanudzałam ciotkę Pelasię opowiadaniem o jego przymiotach, co jednak nie przeszkadzało mi jeść dużo i sypiać jeszcze lepiej. Jedyłą rozrywką moją były jego listy. Przynajmniej tak w siebie wmówić usiłowałam, bo razem ze zd wiem powracała mi ciekawość nieznanego, a bezmiar morza zajmował mnie bardzo.

On tęsknił także. Pisywał dużo i pięknie. Wiele tam było o spójności dusz, o gwiazdach i obłokach, o myśli, która stoi zawsze przy mnie na warcie, o... no — słowem ten cały arsenał podręcznika listów miłosnych, który chyba jeszcze w pomroką okrytych czasach dyktowała Amorowi Wenera. Amor słowa swej mamy kreślił na płatkach róży i rozrzucał po świecie. Zakochani listki te chwyтали, przenosili na papier, transponując wedle skali swego głosu. Amor figlarz musiał śmiać się serdecznie, a Wenera ziewała.

Powróćmy jednak do mego narzeczonego.

Otóż listy jego były piękne bezwątpienia, ale mnie zdawało się, że w nich zamało tęsknoty! I wyraziłam swoje zdanie w następującym liście, pisanym wprawdzie po spożyciu obfitego śniadania, ale za to bardzo wzniosłym i przepelnionym wielkim smutkiem.

Wkrótce otrzymałam odpowiedź. Byłam z niej zupełnie zadowolona.

Pomiędzy literami, gorejącymi jak płomienie, rozpościerała się cudowna plama!

Plama ta ileż uroku mieściła w swej zamazanej atramentem powierzchni!

Wszakże to była... łza!...

Łza, spadła na papier podczas kreślenia do mnie listu, — łza, która, paląc źrenice,

spływała, jak brylant czysty, ze smutkiem i tęsknotą trawionej piersi.

Prawdziwa męska łza!

Ogarnęło mnie szalone uniesienie. On płacze! Płacze wśród ciemnej nocy, gdy wszystko ułoży się do snu, a gwiazd brylanty zaściana niebo!

On płacze! Płacze wtedy, gdy różowe słońko wstaje, jak śpiąca królewna, i do radości i życia świat budzi!

On płacze! Płacze, choć dookoła śmiech i pustota rozbrzmiewa.

On płacze, bo mnie niema przy nim, bo cierpi, bo kocha, bo tęskni... bo ujrzeć mnie pragnie.

I w nadmiarze uczucia całowałam tę łzę rozlaną na papierze; klękałam przed nią, dziękowałam Bogu za skarb tak drogi. Opisałam swoje wrażenie memu najdroższemu i oczekiwałam odpowiedzi. Przestałam się kąpać, jadałam bardzo mało i próbowałam płakać, ale mi się to nie udawało. Czyniłam sobie z tego powodu gorzkie wyrzuty... ale trudno! Trzeba tak kochać, jak „on“, aby płakać z tęsknoty.

Niebawem nadszedł list tak oczekiwany; drżąc, otworzyłam go. Zachwycenie moje przeszło wszelkie granice — nie jedna łza rozlewała się na papierze, było ich aż... trzy!

I tak *crescendo* wzmagala się ilość łez — po upływie dwóch tygodni listy mego narzeczonego robiły wrażenie rzeki, nakreślonej na papierze.

To przebrało miarę.

Jakto? Więc ja mam mu pozwolić cierpieć tak bardzo? O, nie! Nigdy! On może to życiem przypłacić.

Pomimo oporu ciotki, wybrałyśmy się w drogę do domu. Nie uprzedziłam o tem swego narzeczonego — chciałam mu sprawić rozkoszną niespodziankę. Przybyłyśmy do domu wczesnym rankiem. Natychmiast kazałam osiodłać karą klaczkę, na której odbywałam często ekskursje poranne. Ciocia Pelagja łamała ręce, prosząc mnie, abym została i posłała kogokolwiek z zawiadomieniem o naszym przybyciu; ale w mej upartej głowice dojrzał planik, który chciałam koniecznie w czyn wprowadzić.

Majątek matki mego narzeczonego graniczył z nami, jak to mówią, o miedzę. Wiedziałam, że „on“ mieszka jeszcze w domu matki, i chciałam nagłem przybyciem otrzeć łzy, tak bardzo często z ocz ukochanych płynące.

Szybko przebyłam przestrzeń, dzielącą mnie od niego; klaczka moja zebrała się na wielką energję i galopowała, jakby szło o śmierć lub życie. Gdy przybyłam przed ganek, za-

dziwiony służący tym przyspieszonym tętentem konia, wybiegł aż na drogę, a ujrzawszy mnie zarumienioną, z rozwianymi włosami, z kapeluszem na bakier, przeraził się tak stanem moim, że chciał wezwać pomocy.

Nakazałam mu milczenie i zupełną tajemnicę — i zapytałam o pana.

— O! Jaśnie pani z panienką wyjechały przedwczoraj do Dąbrowy; dziś rano mają wrócić.

— A... pan?

— A! Panicz? Panicz pojechał na folwark, ale zaraz wróci, bo bułanek zachorzał, a on o niego dba więcej, niż o oko w głowie.

Zsiadłam z konia i weszłam wewnątrz do domu.

Nic się nie składało tak, jak wymarzyłam.

On był na folwarku, a bułanek zachorzał...

Postanowiłam jednak czekać na niego i na matkę. Raz jeszcze poprosiłam starego Jana o tajemnicę i, otrzymawszy solenne przyrzeczenie, kazałam mu odejść i ukryć konia za stajniami

— O, tu jaśnie pani będzie najwygodniej; tu gabinet panicza, dużo książek i gazet! Proszę, niech pani wejdzie... prędzej czas przeminie ..

Wiedziona ciekawością, wsunęłam się do gabinetu.

Jan zamknął drzwi, zapadła portjera i... pozostałam sama.

Obejrzałam się dookoła. Gabinet ten był to niewielki, czworoboczny pokój, tapetowany zielono, obwieszony trofeami myśliwskimi, szpicrutami, harapami i jakimiś innymi a mnie nieznanymi narzędziami. Strzelby, dubeltówki, noże myśliwskie, siekierki, pouczone na ścianach, tworzyły gwiazdy, w których odbijały się promienie wschodzącego słońca.

Model wodnego młynka, garść nasienia koniczyny, przetak pełen owsa i pełno innych tego rodzaju przedmiotów zalegało biurko.

Cała proza! Poezji ani śladu!...

Zapach skóry rozleżał się w pokoju, pomieszany z wonią terpentyny, której otwarta buteleczka stała na stoliku.

Więc to tu, w tym ekonomskim chaosie, „on“ płacze za mną? Wśród skór i harapów spływa ta lśniąca, jak kryształ, czysta, nieskalana... męska łza?

Zbliżyłam się do biurka. Pomiędzy owsem i motkiem lnu leżał arkusik papieru ze świeżym prawie jeszcze pismem. Był to zaczęty list do mnie, zaczęty i przerwany wyjazdem na folwark lub wizytą u chorego bułanka.

Uczułam jakieś dziwne ściśnienie serca — życie ze swemi nieugiętymi prawami otaczało mnie tu dookoła. Poezja ustępowała miejsca

prozie dnia powszedniego. Owies zasypywał blado liljowy arkusik, na którym widniało: „O mój aniele!“

Anioł i owies! Nie, stanowczo tak być nie powinno.

Nagle drgnęłam przerażona -- „on“ nadchodził, głos jego dochodził wyraźnie uszu moich.

Cóż, u stu djabłów! Dlaczego weterynarz jeszcze nie przyjechał? Chcecie, żeby mi cała stajnia wyzdychała? Niech Likowski sam idzie zawłokę zrobić... — Ja tam za kwadrans przyjdę.

Zaledwie miałam tyle czasu, aby się ukryć za portjerą, zasłaniającą niewielką framugę, gdzie znalazłam się w sąsiedztwie starych siodeł i połamanych cybuchów.

Drzwi otworzyły się z impetem i on wpadł raczej niż wszedł do pokoju. Zaledwie poznałam mego wykwintnego bruneta o bladym czole i kruczych kędziorach. Nieogolony, opalony, w długich butach, w kolorowej, wymiętej kurtce, był raczej podobny do naszego ekonoma, aniżeli do mego ideału. Wielkimi krokami przebiegł gabinet, kłął i tarł czuprynę. Ja widziałam i słyszałam to wszystko z mej kryjówki i dusza zamierała we mnie. Jakże tu urządzić teraz romantyczne niespodzianki człowiekowi, który ma tak bardzo zabłocone buty i zamiast krawatu rodzaj po-

stronka na szyi? Przytuliłam się do ściany i przykucnęłam na jakimś starem siodle. Nogi drżały pode mną.

On, nakławszy się do woli, zbliżył się wreszcie do biurka, usiadł i wziął pióro do ręki.

Serce zabiło mi gwałtownie.

Pisze list! List do mnie...

Ale on wstał nagle i zbliżył się do wielkiej fajczarni, stojącej w pobliżu biurka Wybrał trzyłokciowy cybuch, z szufladki wy dobył kapciuch z tytoniem, nałożył fajkę, ugniótł tytoń, zapalił, pociągnął, splunął, znów pociągnął i dopiero zabrał się do pisania listu.

Z najwyższą ciekawością i jakąś nieokreśloną przykrością przyglądałam się tej robocie.

Bo też było czemu się przyglądać! On chwilami znikał z przed oczu moich poza kłębam dymu; gdy jednak się wynurzył, widziałam, jak kręcił głową, stawiając wolno litery, wzruszał niedwuznacznie ramionami i zaglądał do jakiej czarno oprawnej księżeczki, którą wyjął z szuflady.

Łatwo można było zrozumieć, że pisanie listu sprawia mu wiele trudności i jest ciężką dla niego pracą.

Chwilami przestawał pisać i wachał ter-pentynę, klnąc przytem zarządzającego smolarnią wcale nieestetycznymi słowy.

Nagle, jakby sobie coś przypomniał, wyciągnął rękę do szklanki, w której moczyły się włókienka konopi, i powoli strząsnął kroplę wody na zapisany arkusik papieru!

We mnie serce bić na chwilę przestało.

Ta kropla wody to... jego łza!

Za oknem dał się słyszeć głos rządcy, wołający go do chorego konia.

Porwał się szybko i bez czapki wyszedł z pokoju.

Ja wysunęłam się cicho z za portjery i zbliżyłam się do biurka.

Tak, — woda powoli przysychała do papieru, tworząc plamę szarawą, okrągłą... prawdziwą męską łzę!

Czułam śmierć w sercu, spadłam z nieba na ziemię.

Zamiast łzy płynącej z serca, on mi posyłał krople wody, w której się moczyły konopie!

Jakież rozczarowanie!

Książeczka czarno oprawna leżała obok listu. Spojrzałam na tytuł:

„Podręcznik dla zakochanych, czyli 150 listów dla narzeczonych“.

Spuściłam głowę i zapłakałam na grobie mych marzeń...

.....

Chwilę milczyłyśmy obie — ja smutna, ona uśmiechnięta, ale także nie wesola. Ja pierwsza przerwałam milczenie.

— I cóż dalej? zapytałam. — Jakże postąpiłaś?

Drzwi się otworzyły. Do pokoju wpadł raczej niż wszedł wysoki, ogorzały, barczysty brunet w burce na plecach.

Micia porwała się od okna i rzuciła mu się na szyję.

— Masz odpowiedź! — zawołała, śmiejąc się i tuląc głowę do piersi męża.

S E R C E.
DROBNOSTKA.

...Na pensji mówiono nam, że serce to worek mięsny, z którego krew rozchodzi się po całym ciele.

Tak mówiono na pensji — pamiętasz zapewne; lecz co ci życie powiedziało o sercu, ty niebieskooka, która łzawy wzrok o zachodzie za promieniem słońca posyłasz?...

Co lata całe cierpień i udręczeń wyrzeły? Czy potwierdziły zdanie anatoma, czy coś jeszcze ze siebie dodały?

Czy prócz krwi i komórek niema tam nic więcej w tym smutnym naszym towarzyszku, który się często raną krwawi i cicho w nocy skarży... a skarży?...

Odwracasz głowę, kryjesz oczy, nie chcesz, bym w nich czytała! Nie lękaj się, biedne dziecko, nic we łzach twych niema dla mnie nowego. Jest jedno morze cierpień, jest jedno miejsce w nas, które te cierpienia jakby przepaść chłonie...

To morze, to głębia... to serce!...

Dla anatomów rozprowadza ono krew; dla nas to żałobna urna, w której popiołów

cała moc wielka, a brylantów szczęścia między niemi nie dojrzeć prawie.

Dla doktora narzędzie krwionośne dla nas siedlisko miłości wielkiej, poświęceń bez granic... i bezdennej rozpaczy.

Patrz jakie ono drobne; połóż twą rękę maluchną, a zakryjesz je zupełnie, — a przecież jakież w niem bogactwo miłości, jakaż kopalnia uśmiechów, które ludziom opromieniają życie, do szlachetnych czynów wiodą!

Drobny to skarbiec, a w nim tyle promieni słonecznych, przywiązania kobiecego, szeptów miłosnych, szlachetnych uniesień... i wszystko to mieści się tam, tam, tuż pod ręką twoją.

Bogactwo twoje wielkie; rozdawać je pełną dłonią możesz, jak dobra wróżka, za którą szmer dziękczynny płynie jak srebrna smuga za łódką. Tylko, na Boga! Strzeż, aby razem i skarbcza ci nie zabrano... Będziesz wtedy bardzo, bardzo nieszczęśliwa!

Serce swe zachowaj dla siebie; gdy raz ci z piersi wydarte zostanie, pójdiesz płacząc, szukać go wszędzie; poranisz się cała o ciernie przydrożne i znękana, zmęczona upadniesz wreszcie na rozstajnej drodze, wpatrzonej w dal ciemną...

Lecz serca swego nie znajdziesz, nie znajdziesz!... Lub, jeśli gdzie na rozdrożu znajdziesz jakiś przedmiot zniszczony, stłuczony,

poszarpany, zraniony — przypatrz mu się do-
brze... to będzie serce twoje! to biedne serce
które ludziom oddałeś z ufnością bezmierną,
a które zdeptano, jako rzecz zbyteczną. Nie
bierz go napowrót! porzuć wśród chwastów,
uciekaj, nie patrząc za siebie... poco ci nosić
w piersi taką wielką, oplwaną ranę. Nie miej
lepiej wcale serca.

Śmieć się śmiechem szalonej!...

Sercem się kocha, nie głową! Sercem się
cierpi i serce w człowieku zamiera. Czyś ty
była kiedykolwiek przy łożu konającego? Czy
wiesz, jak życie zastyga? Serce bić przestaje,
krew się ścina i człowiek w dal odchodzi,
tam skąd przyszedł, w dal ciemną, niezgłę-
bioną...

Drżysz cała, nie lubisz zgonu, cmentarzy...
ale ileż tam serc śpi spokojnie. a kamienne
anioły snu tego strzegą! Słuchaj!... Brzoza
szumi tylko, a promienie słońca szczyty krzy-
żów całują. Te serca, śpiące pod masą nar-
cyzów i tuberozy, nie cierpią, nie płaczą, nie
jęczą wśród bezsennych nocy. Jeśli cierpisz
bardzo, idź i ty na spoczynek wieczny. Taki
anioł o marmurowych skrzydłach do snu cię
ukołysze, a słońce złotym całunem otuli.
I brzoza zaszumi ci kołysanką, a biała tube-
roza wonią swą otoczy...

Odpoczynek wieczny!...

Czyż nie lepiej zasnąć pod mogiłą i być
jak ten, któremu

Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły —
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata.
Cóż to za człowiek? Umarły!

Łzy masz teraz w oczach; mówisz, że
umrzeć tak młodo nie pragniesz!... Lecz jak
chcesz żyć z sercem w piersiach i z pragnie-
niem oddania go komuś na wieki? Co za
śmieszne oddanie? Czy słyszysz tę melodję?
Czy cię nie wstrząsa do głębi urok tych to-
nów tęsknych, smutnych, rozpaczą drgają-
cych? Wśród ciszy nocnej płyną one jak je-
den jęk prośby, skargi, błagania... To potok
łez szemrzący wśród serdecznej boleści, — to
skarga serca, które krwawi się cierpieniem
bezdenem...

Słuchaj, ... słuchaj jeszcze... to nokturn
przedziera się przez gęste gałęzie drzew uro-
czej wyspy... W oddali widać sylwetkę ciem-
nookiej kobiety... Ona nie słucha melodji ser-
decznej, odwraca głowę, lecz ty słuchaj.

Czy chcesz tak cierpieć i w noc bezsenną
wołać tym rozpaczonym głosem?... Czy nie
wiesz, że Bóg, dając ludziom serce, chciał im
czyścić w piersi włożyć? Czyż nie wiesz, że
najszczęśliwsi są ci, którzy idą przez świat
bez serca, z kamieniem w piersiach, weseli
i uśmiechnięci?

Ci mają uśmiechnięte usta, pogodne spojrzenie, jedwabne chustki do nosa i często binokle w złotej oprawie. Śmieją się chętnie ze wszystkiego i wolą trufle, czasem fałszowane, ale jedzą je zawsze z doskonałym apetytem. Ci ludzie przejdą po sercu drugiej istoty, jak po chodniku kokosowym. Gdy spotkasz takie na drodze istoty, skłoń głowę z szacunkiem wielkim.

Ci ludzie nie mają serca.

Lecz ty, uparta entuzjastko, ciągle swemi załzawionemi oczyma na mnie spoglądasz! Mówisz, że nie lubisz truflí i że nędza ci serce porusza; szepcesz, że kochać można tylko sercem, a miłość — toć Bogu uczucie skradzione i w duszę człowieka przelane. I twierdzisz, o jasnowłosa, że bez tej miłości serdecznej świat zamarłby cały, kwiatyby nie miały woni, a słońceby zgasło! I mówisz, że gdy dwoje serc połączy się na wieki, to z radości wielkiej łzy płyną, a uśmiech usta rozchyła. Pocałunek miłosny w sercu echo znajduje i dźwięczy tam, jak piosnka miłosna. Teraz ty mi słuchać każesz...

„A ślubuję ci wierność, miłość i posłuszeństwo małżeńskie“. Błyszczący obrączka i biały welon oblubienjey! O uparta entuzjastko, więc tu mi iść każesz i wsłuchać się w szeptaną przez ludzi przysięgę...

„A iż cię nie opuszczę aż do śmierci!...“

Teraz ty na mnie patrzysz z triumfem. Widzisz łzy w moich oczach. To głos tej biało ubranej dziewczyny wzruszył mnie do głębi, a może woń bzu, który rozpościera się po obu stronach ołtarza. Wyjdźmy z kościoła, zapach kadzidła odurza, po głowie płaczą się słowa:

Stara to, stara historja
O nowej niezmiernie treści;
A gdy się komu przytrafi,
Serce mu pęka z boleści...

Widzisz, teraz tobie zasnuwa znów oczy jakaś mgła niepoczciwa. Pochyl głowę, to jęczy serce... Heinego ..

Zamilkłaś, biedna istoto!... Na palcu twym błyszczą pierścionek zaręczynowy z turkusem w kształcie serca. Dookoła błękitnego kamienia bielą się perły. .

Perły — to łzy! Czyż moja wina, że ja wszystko przez łzy widzę, i że wszyscy ci, którzy serce w piersiach mieli, płakali przez życie całe? Lecz ty, szalona, pozbyć się go nie chcesz; mówisz, że wolisz mieć w piersiach ranę nawet, niż nie mieć nic. . pustkę ohydną. Wybierasz więc łzy, perły... nie chcesz djamentów uśmiechu?... Kryjesz w sobie tę mogiłę wspomnień, ku której się zwracasz wśród bezsenych nocy, i w cierpieniu ulgę znajdujesz? Jesteś więc kobietą... kobietą w każ-

dym calu! Pozbyć się nie chcesz serca i pozwalasz mu dręczyć się bezustannie.

Ty mówisz, że serce tak mocno wzrosło w piersi kobiety, iż wyrwać go nie sposób — i nic chyba nie zdoła go uspić: ani przejścia, ni burze życiowe. Ono wieczne chce kochać i poświęcać się dla czegoś! Krew całą wytoczy dla szczęścia drugiego, odda mu się bez podziału, aż znów odepchnięte, rozdarte, smutne, zajęczy w piersi twojej!...

Idź więc, blada ćmo, w ogień, gdy takie przeznaczenie twoje!! Nie zdołam cię powstymać, bo ty słuchasz tylko serca twego bicia. I cierpieć tak będziesz ciągle, tułając się, jak mara, z wiecznie rozdrażnioną blizną serdeczną, aż wreszcie padniesz na rozdrożu, wydając jęk głuchy, przeciągły...

Scichniesz wtedy sama... bo serce twe skona na wieki!...

JEJ UŚMIECH!

FANTAZJA.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

„Żądze uciechy kwitną chwilę,
Znowu więdną — i znów kwitną;
I tą drogą nędzną, szczytną,
Wszystko dąży ku mogile!...”
(Heine — „Księga Pieśni“).

...Dogorywam !

Wy nieopatrzni bogacze, posiadający w swoich stalowych piersiach całe skarby siły i młodości; wy rówieśnicy moi którzy zdrój życia przelewacie w niedopitą czarę szampana, lub w usta bladej wietrznicy; wy, których szary świt wita czuwających przy stole zarzuconym kartami i złotem: wreszcie wy ludzie biedni, ze schyloną ponad pracą głową... słuchajcie mnie — ja dogorywam !

Słowo drobne, małe, czterozgłoskowe: lecz wypowiedzieć je spokojnie, głośno, z całą wiarą — na to potrzeba siły Tytana i odwagi Herkulesa; na to potrzeba wejść w siebie i policzyć, ile tam w zbolącej piersi pozostało jeszcze zasobów oddechu, ile jeszcze razy udeżyć może smutne, zbolące serce.

I wśród nocnej ciszy potrzeba nagle wyciągnąć ręce do tej ułudnej mary, nazwanej

„życiem,“ które chce uciec z twego schorzałego ciała, jak ptak długo więziony — i zawołać wargami gorączką spieczonemi:

— Ja dogorywam!

*

*

*

Minęły te czasy, kiedy suchotnicy nie znali stanu swojego zdrowia i łudzili się, snując dalej czarowną marzeń tkanę:

Śmierć przychodziła do nich znienacka i zostawiała ich martwych, z szeroko otwartymi źrenicami, zdziwionych tym niespodziewanym skonem, który, według nich, był jeszcze daleko. Ja znam dokładnie stan mój — znam lepiej, aniżeli lekarz, który codziennie kiwa głową nad mojem łóżem... Ja wiem, że dokoła mnie śmierć, we mnie śmierć, że stara matka moja, gdy przybędzie z dalekich stron, wyczyta w mojej twarzy wyrok, jaki anioł żałoby w noc na czole mojem wypisuje!..

Lecz czy zdąży ta święta moja zamknąć mi powieki?.. Nie chcę na nią patrzeć oczyma trupa... Ja serca matki pragnę! U brzegu mogiły o błogosławieństwo jej proszę: Umrzeć na jej piersi, ukołysany harmonją jej głosu, obłany jej łzami — dziecinne to, a jednak wielkie we mnie pragnienie:

Matko moja! Przybywaj:

*

*

Biedna ona, ta siwa, ta święta, ta ukochana — w chwili mojego skonu i z jej piersi, życie uleci.

Wszakże ja byłem tem słońcem, w którego promieniach zakwitał kwiat jej starości; ja byłem jedynem jej ziemskim ukochaniem; we mnie żyła, we mnie cierpiała, ze mną się uśmiechała.

Łza moja w oku jej bratnią siostrę miała, uśmiech mój był jej uśmiechu odbiciem, wszystko nam było wspólne — troski codzienne i marzenia przyszłości.

Kiedy przybywałem do niej, aby spędzić wakacyjne chwile, i cały ośnieżony rzucałem się do jej rąk ubóstwianych, ona tuliła mnie do swej piersi i wśród płaczu i śmiechu mówiła tylko:

— „Chłopiec mój ukochany, chłopiec“!...

I duma, tkliwość, bezgraniczne jej dla mnie poświęcenie, widniały w błękitnych, tych oczach, rozjaśnionych najświętszą z miłości, która w niebie początek swój wzięła i przez anioła Bogu wykradziona, w piersi kobiet przelaną została!

Potem siadaliśmy oboje przy płonącem ognisku i, patrząc w złote płomienie, rozpoczynaliśmy swoją spowiedź: ona krótką opowieść wdowy, żyjącej jedynie w swem dziecku, — ja długą, bezładną spowiedź chłopaka, przed którym świat cały otworem... a przy-

szłość — toć najpiękniejsza rusałka, w liście i kwiaty strojna..

I przy tem ognisku, u nóg tej czarno odzianej kobiety, której rękę czułem na swojej głowie, gasły kolejno niepocziwe bunty; ręką złą wzniecone zuchwałę wątpliwości, jak buntownicze anioły, pierzchały w nieładzie, a nieugięta pycha kornie chyliła głowę...

Cóż zdoła się ostać przed tkliwem sercem matki?

Ach! Jest jedna potęga, której głos ten słodki nie zgniecie; jest jedna moc, która stawia czoło hardej tej wszechpotężnej miłości; jest jedna mara, której łza matki nie wzruszy...

To śmierć, to skon!

*

*

*

Gdzież „ona“ jest teraz, ta, która mi śmierć w duszę wniosła?

Gdzież krąży teraz z twarzą demona w słońcu południa skąpaną? Ja dogorywam, a tej, przez którą umieram, gasnącym wzrokiem spostrzec nie mogę... W sam czas odeszła — wszakże teraz zajmującym nie jestem...

Gdzież ona, ten ogień błędny, wiodący ludzi na manowce? Gdzie poszła, unosząc oczu swoich brylanty? Czy, jak wodna „zwodnica“, tańczy po zielonej fali i srebrną kaskadą śmiechu ciągnie ludzi w toń zimną? Niema jej!

Pusto!... A jednak ona jest tuż przy mnie, słyszę szelest jej szaty, widzę marmurowe ramiona, czuję woń kwiatów, całujących jej piersi... O ty, przez którą konam, nie dręcz mnie już więcej!...

Lecz ona prośby mej nie słucha.

Patrzcie! Na szarej mgle poranku wpływa przez okna mojego pokoju, biała, przejrzysta, a doskonale piękna — jak różowa jutrzienka, poprzedzająca słońce. A ja wyciągam ku niej moje wychudłe ręce i pragnę uchwycić rąbek mgły, którą jest owinięta... Ona pochyła się w moją stronę, kaskada czarnych włosów spływa po jej szyi, po śnieżnych ramionach, od których odbija ciemna barwa twarzy — stoi tak chwilę nieruchoma, złączając się w promieniach wschodzącego słońca. Nagle na ustach jej zakwita uśmiech czarownicy — całe morze ironji, rozkoszy, pogardy i zmysłowej podniety...

Nie patrz na te rozchylone usta, bo w tej chwili trucizna jest na tych wargach purpurowych! Trucizna podobna do tej, jaką mają w kielichu swoim podzwrotnikowe kwiaty, śmiejące się do ciebie pomiędzy ciemnymi liśćmi... Nie wciągaj ich woni — woń ta cię zabije... padniesz, jak kłos kosą podcięty, pod czarem tego uśmiechu!...

A ona uśmiecha się ciągle, ciągle patrząc na mnie z poza mgły, w którą owija się cała...

Kontury jej ciała błyskają połyskiem atlasu...
 Włosy czernią się jak lśniące żmije, a uśmiech
 drga, drga ciągle, bezustannie, na wilgotnych,
 purpurowych wargach!

Jej uśmiech! Boże! Jej uśmiech!...

*

*

*

Śmiali się ze mnie koledzy moi, iż tak
 szalenie pokochałem kobietę, spotkaną wśród
 tłumu, i potem śledziłem każdy jej krok, wpa-
 trzony w nią, jak w tęczowe zjawisko!

Czułem, że mają słuszność... Ale co chce-
 cie! Miłość istnieje... Błąka się ona po świecie
 i puka do serc ludzkich, nie zważając, na
 okrzyki tłumu, który chce wygnanie niebios
 skalać w błocie sprzedajnych miłostek, lub
 zaprząć do pługa zwierzęcych instynktów.
 Ona, świetlana, czysta, promienna, ucieka im
 z rąk i rozrywa kajdany, jakimi skrępować
 ją pragną, i idzie dalej i dalej w swoim trium-
 falnym pochodzie, niosąc więcej łez niż
 uśmiechu, smutku niż radości, cierpienia niż
 wesela. Z popiołów gmachy zwalone odtwa-
 rza i daje życie umarłemu kwiatu, — ale czę-
 ściej trumnę gotuje, całun grobowy na swo-
 ich wybranych zarzuca.

I do mnie przyszła ona w piękny pora-
 nek letni i zastąpiła drogę mojego życia, bły-
 sząc oczu czarnych promieniem. Młode ser-
 ce — to motyl biegnący do światła. Więc i ja

pobiegłem za oczu tych promieniem — i biegłem tak długo, długo, aż padłem bez życia; i teraz, ledwie w dni moich poranku, liczę minuty mojego istnienia.

Bo miłość jest mściwa i tym, którzy jej bluźnią, ciężko płacić każe

Jam bluźnił miłości, hołdując instynktom tylko... dla tego też ona wydziera mi życie i szarym popiołem oczy posypać mi zamierza...

*

*

*

Od chwili, kiedy ją ujrzał, byłem szaleńcem.

Noce całe wystawałem pod jej oknami, rozgorączkowany, patrząc w mdłe światło, płonące w jej sypialni. Czuwałem nad jej snem, stojąc na deszczu lub mrozie, i składałem ręce w niemem upojeniu, wpatrzony w mdławę, blade światło. Byłem śmieszny, wiedziałem o tem — mówił mi to zdziwiony wzrok stróża nocnego, który brał mnie za nocnego włóczęgę. I byłem nim, ja, biedny rozbitek, bez woli, bez duszy, bez serca — bo wszystko mi zabrała ta czarnowłosa, śpiąca spokojnie pod fałdami jedwabiu.

Nie jej to była wina, iż miała tę piękność doskonałą i czarne ócz brylanty, jak otchłań głębokie, a zda się niezmierzone. Jam to był winien, biedny marzyciel, który w otchłani szukałem źródła życia i zaprzepaściłem w niej

swe istnienie. I kupowałem wonne, purpurowe róże, zda się z ust jej zbiegłe, i tuliłem do swej twarzy, całując je namiętnie. Kwiaty wędły od żaru moich warg, ale nic mnie ochłodzić nie mogło. Rzuciłem kwiaty na ziemię i łkałem głośno, jak dziecko, a róże poszarpane wydawały mdłą woń, tę samą, jaką jej suknie były napojone..

Ona była kwiatem, kwiatem purpurowym, królewskim wspaniałym!

Cała była wonią, rozkoszą, upojeniem!...

*

*

Czy ona wiedziała o mojej miłości — ja sam nie wiem i podobno nie dowiem się nigdy.

Kobieta — powiadają — ma cudowny instynkt. Wśród tłumu odczuje wzrok biednego robotnika, spoczywający na niej z uwielbieniem, wzruszy ramionami i odwróci oczy po to, aby za chwilę spojrzeć znów w tę samą stronę. Jam stał przy niej w niezliczonym tłumie, wpatrzony w jej postać królewską, a ona odwracała wolno swoją kształtną główkę i patrzyła na mnie, jak... na biednego robotnika! Lecz w oczach jej nie czytałem nic, żaden wyrok nie spływał do mnie z tych ciemnych źrenic — i ta obojętność przyprowadzała mnie do szału. Chciałem ją bodaj czemś obrazić, aby zamącić pogodę jej spojrzenia, by choć gniew wzbudzić w jej piersi.

Biały piesek biegający za nią, zbierał stokroć więcej pieśczośliwych spojrzeń, niżeli ja, który kobiecie tej oddałem na własność duszę moją — i czułem, że mi jej nie odebrać więcej, chyba w godzinę śmierci — po to, aby ją stracić znowu!

*
*
*

Mówili mi ludzie, iż miłość moja to miłość dziecinna, „studencka“ — i śmieli się z mej wybladłej twarzy i smutnych oczu.

Ja chciałem śmiać się nimi w kącie jakiejś piwiarni, siedząc przy brudnym stole, pomiędzy brudnymi kuflami. Próbowałem śmiać się, ale serce moje chore uczuwało jakby pchnięcie sztyletu, a dech się w piersiach tamował. Rzucałem pieniądze w fartuch usługującej dziewczynie, odpychałem jej zalotne ramiona i wybiegałem jak szalony na ulicę, szukając mojej ukochanej. Jeśli ją znalazłem na koncercie, lub w którymkolwiek z teatrów, stawałem cichy drżący, pochłaniając jej piękność, jak kwiat chłonie promienie słoneczne, jak motyl pije rosę. A serce moje stawało się jedną wielką raną, która krwawiła się za każdym jej uśmiechem, zwróconym do mężczyzn ją otaczających. Pragnąłem wtedy za cenę mego życia zyskać taki uśmiech, zebrać go z jej ust, z jej ust purpurowych

i unieść ten skarb daleko, kryjąc przed ludzkiem okiem.

Jej uśmiech! Boże! Jej uśmiech!

*

*

*

I zakwitł dla mnie ten kwiat mistyczny wśród mroźnej nocy.

Przyszedł poto, aby mnie zabić — zabrać resztę życia, jaką miałem w piersi...

Zima już zeszła na ziemię, wlokąc swój płaszcz biały, brylantami bogaczów i łzami nędzarzy utkany. Bawili się wszyscy, a płakało wielu... Walc mieszał się z jękiem marzących ludzi, a ten sam mróz warzył kamelje, bielące się nad czołem tanecznic i ścinał w kryształę łzy na policzkach matki, szukającej pożywienia dla zeszywniałej od mrozu dzieciny...

Ja szedłem w świat za moją ukochaną i szukałem jej na wszystkich balach publicznych, gdzie często spotykałem ją świetną, promienną, lśniącą od dżetów, z łonem obnażonym, z ramionami nagiemi, jak u greckiej niewolnicy, z głową strojną w pęki piór, błyszczących brylantową rosą. Kilkakrotnie miałem sposobność zbliżyć się do niej, być jej przedstawionym, ale na tę samą myśl doznawałem tak silnego wzruszenia, iż pozostawałem w moim kąciku, śledząc jej ruchy, licząc jej uśmiechy! O, bo śmiała się ciągle w tej balowej

sali, śmiała się jak nieopatrzny bogacz, siejący po swej drodze perły i brylanty. Gdy tancerz wprowadzał ją w wirujące koło, ona, słuchając jego szeptu, przechylała główkę, przymykała oczy i uśmiechała się, jak rusalka nad brzegiem wodnej toni... A uśmiechów tych rozrzucała tyle, ile kwiatków konwalji śnieżyło się na jej piersi, ile pereł otaczało jej szyję, i blasków rzucały brylanty jej oczu.

Jam stał zgorączkowany, patrząc na ten posąg grecki, owiany białą gazą, — na ten posąg, uśmiechający się w odbłaskach gazu, i prosiłem cichym szeptem: „spójrz, spójrz raz tylko! Za uśmiech twój ja życiem zapłacę!...“.

* * *

Bo cały poemat był w tym uśmiechu!

Zalotność, radość i świadomość swojej piękności, jakaś rzewność i przekora dziecięca, namiętność zmysłowa kobiety z przyczystą niewinnością anioła... wszystko miała w sobie ta pieśń bez słów, płynąca z jej warg purpurowych. Tak uśmiecha się demon, gdy wiedzie dusze na zagładę... Tak śmieje się anioł, otulający białymi skrzydły kolebkę śpiącej dziewczyny.

Za takim uśmiechem idzie się w przepaść, z której niema wyjścia...

Skarb taki pragnąłem osiąść dla siebie i posiadałem go na wieczność całą.

Podczas jednego z balów tłum niezliczony przepelniał salony... Gorąco dusiło wszystkie piersi, twarze oblekały się purpurą... Wśród tego piekielnego żaru szaleńcy tańczyli z jakąś dziwną namiętnością złączeni we wspólnym uścisku, jak potępieńcy Dantego... I ona była pomiędzy nimi, ta moja królowa, zawsze marmurowo chłodna, uśmiechająca się jak zwykle. Skronie mi płonęły, puls bił szalone tempo, gdym patrzył na jej łabędzią szyję, od której dziwnie odbijała śniada barwa twarzy.

Gdy wychodziła, rzuciłem, się za nią jak szalony i już stałem pod perystylem, gdy ona, otulona w wielkie białe opony, schodziła otoczona gronem tancerzy. Jam stał zmieszany z tłumem, otaczającym wejście do gmachu i liczącym głośno karety i wsiadające do nich kobiety. Lodowate zimno panowało dookoła. Noc ta była szczególnie mroźna, a świetlane punkciki unosiły się w powietrzu. Wszystko było pokryte tym brylantowym szronem, a oddechy ludzkie zamarzały na ustach.

Ja stałem z twarzą płonąca, czując w sobie żar straszny, wyniesiony z sali balowej otulałem się futerkiem, które najlepsza matka moja kazała mi przerobić z ojcowskiego

futra i przysłała z błogosławieństwem i pocałunkami...

We drzwiach pokazała się ona... Tłum zaszemrał głośno na widok białego zjawiska, otulonego futrem i koronkami. Karetą jej zajechała, ale od drzwi wchodowych do pojazdu została jeszcze przedsień o kamiennej podłodze. Podłoga ta była zmoczona i wilgotna, kamienie przerażały ją swoim chłodem i wilgocią... Stała wahająca, niepewna, spoglądając dookoła, oczekując na coś... I w mgnieniu oka ja, nieszczęsny szalenię, zerwałem futro ze swoich ramion i rzuciłem jej pod stopy, jak Leicester płaszcz pod stopy królowej. Ona bez wahania wstąpiła na ten puszysty kobierzec i przechodząc koło mnie, spojrzała mi prosto w oczy. Chwilkę spojrzenia nasze się zmieszały: moje gorące, rozpaczliwe, namiętne, — jej zalotne, smutne i jak otchłań bezdenne. Nagle usta jej rozchyliły się i purpurowy kwiat uśmiechu zakwitł, zakwitł dla mnie jedynie!... Fala krwi uderzyła mi do głowy; to, czego wśród nocy bezsennych pożądałem tak gorąco, posiadałem wreszcie, posiadałem wyłącznie. I trwał ten uśmiech chwilę jedną, mgnienie błyskawicy... ale na sercu mojem wyrzył się, jakby na marmurowej płycie, kryjącej grobowce.

Jej uśmiech! Boże! Jej uśmiech!

*

*

*

Kiedy przyszedłem do przytomności, ona już była daleko.

Odjechała, nie bacząc, iż rwało się za nią młode życie miłosnego żebraka, który bez wahania, zamiast płaszcza, duszę swoją rzuciłby pod jej stopy! Tłum patrzył na mnie, jak na warjata, zrzucającego ze siebie ciepłą odzież w tę noc mroźną, styczniową, gdy oddechy marzły na ustach, a słowa w lód się ścinały. Inna kobieta pojawiła się we drzwiach, inne futro i koronki zajęły uwagę ludzi... Karetą zaturkotała, zaczęto mnie popychać, ktoś roześmiał się głośno, drugi schwycił moje futro i odrzucił daleko na kupę śniegu, ja stałem jeszcze chwilę i czułem, że krople potu na moich skroniach zamieniały się w lód, jak lzy skamieniałe. Po krzyżu przebiegały mnie dreszcze i nagle zabrakło mi oddechu...

Instykt zwierzęcy wziął górę nad rozpaloną wyobraźnią — mimowoli zacisnąłem frak koło piersi zacząłem szukać futra. Trwało to długą chwilę, bo tłum się tłoczył, ciekawy, chciwy i bezmyślny... Wreszcie znalazłem mój płaszcz, cały mokry od śniegu i zimny jak całun grobowy. Zrzuciłem go na ramiona i doznałem dziwnego wrażenia. Zdawało mi się, że wpadłem w toń lodową i kostnieję cały, zamierając powoli.

Lecz pomimo to cisnąłem całą siłą zmoczone lutro do piersi. Wszakże to jej stopy, obute w białą irchę, deptały po czarnym, lśniącym włosie i tonęły w nim, jak w puszycy kąpieli! Zdawało mi się, iż odnajduję ślady jej drobnych, dziecięcych nówek i tulę je do piersi w namiętnej pieszczocie. Dzieckiem jeszcze będąc, tuliłem tak samo drobną swą główkę do ciepłego ojcowskiego płaszcza, w którego fałdach niknąłem, jak drobna gwiazdeczka wśród ciemnej nocy; – teraz całowałem to same futro, nie szukając wszakże wspomnień zmarłego... Lekkie stopy kobiece przesunęły się po niem... czarowny jej uśmiech stanął przed memi oczami.

I błąkałem się po ulicach, złączony w szalonym uścisku z tym grobowym całunem, który mroził mi krew w żyłach i oddechu pozbawiał!

* * *

I oto od pięciu tygodni nie wstaję więcej z łóżka.

Od tej pamiętnej dla mnie nocy zamarł oddech w moich piersiach, a krwi świętej nie rozegrzać nie może. Zimno mi, choć ogień blisko mnie płonie; zimno mi, choć w usta wlewają ożywcze płyny; zimno mi nawet, gdy o niej wspomnę... Mróz, mróz dookoła mnie! Mróz spłynął ku mnie z jej warg wpółotwartych, z jej ramion alabastrowych, z jej oczu

we mnie wpatrzonych... Sztynnieję, ziębnę, drzę cały — zda mi się, że mieszkam w lodowym pałacu i śnieg mam na posłanie.

I ona zjawia się chłodna, blada, — a gazę, okrywającą jej ciało, szron posypuje. Kwiaty konwalji, bielejącej w jej włosach, iskrzą się jak śniegowe brylanty. Bryła lodu służy jej za podnózek, a puchy śniegowe otaczają ją dookoła! I stoi tak przede mną w zimowym świetle szarego poranka i uśmiecha się ciągle, patrząc na mnie... pół trupa, drżącego pod wpływem tego uśmiechu.

O matko! Ty jedyna odegnać możesz tę lodową marę, twój gorący oddech zdoła rozgrzać me czoło!... O matko,... przybywaj!

*

*

Napróżno wołam...

Pustka i cisza dookoła... Widmo lodowe nie znika... Studencka miłostka wkrótce się skończy...

Śmieszna to była farsa... jedno młode serce pękło... jedno życie zastygło!...

Dnieje — szara smuga staje się coraz białszą... a mnie coraz zimniej... Oczy mi się kleją... chcę spać... zasnąć na wieki!... A przedemną ciągle ta biała kobieta... jak anioł śmierci niewzruszona... i z ust jej sływa ku mnie... grobowym chłodem... uśmiech!

O Boże!... Jej uśmiech!...

GDYBYŚ TY OŻYŁ!...

FANTAZJA

(do obrazu „Potop“ Pawła Merwarta).

Znów jesteś przede mną, wspaniały pięknością swoją, do posągu raczej podobny!

Twarz twoja, napiętnowana rozpaczą, wznosi się w górę, a oczy, z których tryska prośba sercu wydarta, patrzą w niebo, zasnuwane szarą mgłą, dżdżystą, straszną i jak przepaść beznadziejną.

Pod stopami twymi woda! .. Dookoła ciebie... woda. Wszędzie rozszalała fala, a ty, wsparty na odłamku skały, w swoich potężnych ramionach wznosisz wysoko pod niebiosą białą kochankę swoją, białą dziewczynę, spowitą w mgłę gazy i czarnych włosów promienie!

Śmierć dookoła ciebie, o synu Noego! Śmierć łechce stopy twoje i w ryku fal obecność swą zwiastuje... ale ty, ufny w potęgę miłości, do niebios podnosisz ukochanie swoje, sądząc, że przebłagasz gniew Stwórcy i białą piersią zemdlonej kochanki przebijesz czarną oponę chmur, niosących zagładę i zniszczenie.

Ty kochasz czarnowłosą Sarę, ty kochasz całą potęgą uczucia, jakie pierś ludzka pomieścić jest zdolna! Ty dobrowolnie odda-

jesz swoje młode życie, nie chcąc się ocalić w arce twego ojca... ty zginiesz wraz ze swą jedyną w zimnym odmiecie fal... wiesz o tem, a jednak opuścić nie chcesz istoty, która ci się osunęła do stóp, w poranek wiosenny, i jedwabiem włosów wolę twą, jak łańcuchem związała. Ona ze swą duszą oddała ci życie swoje. Ty dajesz jej teraz istnienie swe w zamian. Zginiecie razem, złączeni w uścisku, zginiecie oboje, piękni, w lat swoich zaraniu..

Woda ziębi już wasze stopy, za chwilę pokryje was, jakby całunem śmiertelnym... Jeszcze czas przecież... porzuć białe ciało twej kochanki, Jehowa dla ciebie gotuje ocalenie... Patrz! Tam w oddali płynie arka, tam ojciec twój płacze i ręce ku tobie wyciąga... Porzuć Sarę w zimne fale, które jak zwierz rozżarty krążą dookoła ciebie — ocal się! Ocal! wszakże młodości twej szkoda!..

Ale on nie słucha. Wspaniały swą wielką rozpaczą, wznosi ciągle ramiona ku górze, a w ciemnych marach rąk jego bieleje Sara... ta ukochana! Ta jedyna! Ta... do śmierci!..

Więc była miłość na świecie?... Było uczucie takie, które człowieka na śmierć wiodło i, ogarnąwszy istotę całą, duszę z piersi wyrwało? I śmierć była lekka we dwoje... i życie było jasne we dwoje... i łza była mniej gorzka, a uśmiech weselszy! I śmiało

się do słońca dwoje młodych istot, odpoczywając w cieniu liści ciemnych... i umiało skonać razem w noc taką śmiertelną, skonać, jedno ratując drugie ..

Razem... wiecznie razem!...

* * *

O gdybyś ty ożył, ty piękny, ciemnowłose, uczuciem wszechpotężny i spojrział w tę noc jesienną na ziemię, po której, zamiast fal spienionych, płyną całe rzeki srebrnego światła księżycy...

O gdybyś ty ożył i stopą twą z brązu wykutą dotknął miejskiego bruku, który drży pod kołami karet, wiozących w koronki otulone kobiety!

O gdybyś ty ożył i jedną z takich kobiet porwał w swe ramiona, jak niegdyś Sarę przed laty, i podniósł do niebios, do gwiazd, płonących jak brylanty, i chciał ją ocalić ze świata odmętu, z fal występku i kału, które dookoła jak zwierz dziki krążą, wyciągają swe paszcze po młodość, piękność i niedoświadczenie — a wzamian za tę kochankę serdeczną gdyby ci danem było zginąć w nędzy i opuszczeniu, — gdybyś, zaślubiając biedną kobietę, stracić miał pozycję, majątek, sukcesję, utonąć w potopie ruiny — co zrobiłbyś, wnuku Lamela?

Gdybyś ty ożył i pierś twa zadrżała życiem, siłą, miłością, — przedewszystkiem nie byłbyś synem Noego, ani prawnukiem Matuzalea, ale synem bankiera, wysokiego urzędnika, właściciela domu, może jakiego hrabiego, barona galicyjskiego... ba, może nawet księcia.

Ojciec twój nie budowałby korabia lat tyle, znosząc kawałki drzewa i wiążąc je w pocie czoła, pod paląciami promieniami słońca; budowniczy postawiłby mu korab czteropiętrowy z oficyną i asfaltowym dziedzińcem, lub rodzic twój zamieszkałby pałac przodków swoich, gdzie gobeliny okrywają ściany, a chińskie pancerze czernią się po kątach.

I ty sam, czarnowłosa, ciemnooki, nie igrałbyś, będąc dzieckiem, pod cieniem palm niebotycznych, kąpiąc swe nagie ciało w piasku i blaskach słonecznych, — tybyś chodził z tornistrem na plecach i kantówką za pasem, kupować obsadki i radirki po sklepach — a wątle twoje, drobne ciało wędłoby w ciasnej atmosferze dusznych, natłoczonych izb...

Później pierś twą szeroką, pierś do walki przeznaczoną, którą wicher pustyni całował w noc ciemną, okryliby sztywną bielizną, lśniącą, glansowaną. Całe twoje ciało — ten harmonijny akord, szczyt doskonałości, ideał wcielony, który ciemniał o zachodzie słońca

na szczytach skał, skąpany w purpurowych blaskach — okryliby „garniturem frakowym“ z Wiednia sprowadzonym, garniturem na jedwabnej podszewce, z wyłożoną firmą krawca, i kamizelką modnie wyciętą. Oczy twoje, te dwie przepaście czarne, obramowane rzęsami, te oczy, które jak gońce posyłałeś w głąb pustyni, lub topiłeś nieustraszenie w żółtych lwa źrenicach, skrzywiłyby się w brzydkim, nerwowem skurczeniu, w celu utrzymania monokla, krającego ci skórę twarzy drobnymi, ostremi ząbkami. I przez taką szybkę szklaną, kaleko jednooki, patrzyłbyś na słońce, na Sarę twoją czarnowłosą, — i słońceby wydało ci się mniejsze, a piękność Sary mniej doskonałą.

Gdybyś ty ożył, zamiast siekierki, z odłamu skały zrobionej, zamiast łuku o olbrzymich, świszczących strzałach, przez Tubalkaina ukuty, ręka twoja dźwigałaby *chapeau claque* z monogramem i koroną na czarnej atlasowej podszewce. Czasem, dla odmiany, lekka laseczka podpierałaby twoje niepewne kroki; usta twoje, te usta, których korale chłód nocy pieścił i żar namiętności z nich zbierał, ssalyby nadzwyczajne cygara lub papierosy; a stopy nagie, migające wśród mchu, porastającego w rozpadlinach skał, kryłyby buty o wąskich, śpiczastych nosach.

I tak przekształcony zacząłbyś włóczyć swoją po świecie, pełen znudzenia i przesytu od kołyski niemal, ciągle szukający wrażeń, zamiast lwów pustynnych, i polujący na dziewczęta, wychodzące z magazynu, zamiast na ciemnookie gazele, pasące się na szczytach skał...

I noce swoje trawiłbyś nie pod gołym niebem, zapatrzony w gwiazdy, kołyszany szumem wodnej trzciny i ukochanej twej piosenką, — lecz za stołem modnej restauracji, w hulaszczym gronie, w atmosferze topionego masła i dwuznacznych perfum, jakiemi starsi kelnerzy fraki swe zlewają.

I gdybyś ty ożył, spotkałbyś Sarę twoją nie na brzegu strumienia, wśród lilij i szerokich zielonych płatów hermongery, — nie jasne poranne słońko oblałoby jej kształtne ciało, schylone nad wody kryształem, — nie płaszcz czarnych włosów za szatęby jej służył, — ale Sara twoja złożyłaby ci może ukłon w sali balowej ściśnięta w górsce, upudrowana, przefasonowana, do „kobiety“ tak mało podobna!

I, miły Boże! Nie tak, jak w zamierzonych, dawnych wiekach — namiętność nagle zbudzona, uczucie szczere, nieklamane dwojga młodych istot pchnęłoby was ku sobie w ten poranek majowy, w którym ptaki, zbudzone ze snu, przyglądały się wam z pobłażaniem

wielkiem, — ale sztuczny konwenans, rachuba, dobre maniere kazałyby wam zatłumić mimowolne wzruszenie, które sercem waszem wstrząsnęłoby chwilowo — i ty, o czarnowłosa, pytałbyś: „jaki jest jej posag?“ — Ona zaś, ta ciemnooka: „kim on jest właściwie?“

I gdybyś ty ożył, może nawet na dzień twego serca zatliłaby się iskra miłości, potrafiłbyś w drobne uszko szeptać zakłętą słowa, wziąłbyś serce i wolę kobiety, — ale... poświęcić się dla niej, oddać coś ze siebie samego, ocalić z potopu — ty już tego nie zrobisz, piękny, z brązu odlany młodzieńcze! Wieki całe składały się nato, wieki negacji, sceptycyzmu, zdrady i kłamstw występnych; ty zapomniałeś kochać, a z nieba już wykraść tajemnicy miłosnej nie możesz i... nie chcesz! Przestałeś widzieć w kobiecie skarb swój jedyny, ideał szczęścia, poza którym wszystko jest nicością. Sara dla ciebie teraz byłaby dodatkiem do posagu, karjery i... szampa. Kochanka lwa stałaby się jego niewolnicą, wlokącą za sobą worki pieniędzy lub chwile fikcyjnej rozkoszy, a lwa jej serdeczna uśmiechby w tobie budziła.

O! Gdybyś ty ożył, jakże niskim i nędznym stałbyś się teraz!...

Ty pierwszy wbiegłbyś do arki ojca swego, potracając innych, nie bacząc nato, co się stanie z istotą przez ciebie ukochaną..

A gdyby na górze Ararat było za mało miejsca na dwoje, nie podniósłbyś białego ciała do ciemnego płaszcza chmur rozgniewanych, lecz straciłbyś je w przepaść fal spienionych, aby... siebie ocalić.

* * *

Więc lepiej nie żyj, ty synu Noego, co z białej piany fal wynurzasz się jak posąg pięknnością doskonałą i stoisz jak ciemny grobowiec wielkiej, bezbrzeżnej miłości.

Razem ze śmiercią twoją znikło to serdeczne uczucie, dla którego tyś oddał swe życie — i odtąd nikt dobrowolnie w ślady twe nie wstąpił. Tęcza zaświeciła nad twoją mogiłą. lecz w tęczy tej nie było odblasku miłości — tyś zabrał w zimny grób ciało twej kochanki i tajemnicę swego serca, i odtąd ludzie udają miłość, z której ty uśmiechać się musisz... To słaba, sztucznie wyhodowana roślina wobec wspaniałego, o gorących barwach i czarownej woni kwiatu! Wieki minęły, tyś jest jeden, jedyny — i stoisz ciągle przed memi oczyma doskonałą duchowo i doskonałą pięknnością swoją. Nie żyj! Nie budź się! Nie kłam! Nie zwódź! Nie bądź samolubem!... Pozostań na tej wyżynie ciemnej skały, unosząc Sarę w rozpaczliwym wysileniu. Krzyk, który zda się piersią twą wstrząsać,

nie przebłaga niebios zagniewanych, nie wzruszy Jehowy, ale brzmieć będzie przez wieki całe, budząc tęsknotę za taką miłością, jaka z tobą zginęła!

Nie żyj, synu Noego! Pozostań martwym, milczącym, a przecież tak wymownym... bo gdybyś ty ożył w jaką noc jesienną i chciał razem z Sarą zginąć w odmęcie ruiny, świat cały z uśmiechem nazwałby cię, o ciemnowłosa... przedpotopowym bohaterem!...

PORTJERKA.

STUDJUM Z NATURY.

Cała łoża lśniła się od porządku i czystości.

Na kominku w cynowych kandelabrach różowe sterczały świece; wielkie biurko, założone stosem listów, papierów i gazet, było szcządo od drobiazgów, poustawianych dookoła wielkiego kałamarza z brązową pokrywką.

Pani Croizelle, założywszy ręce po napoleońsku, stanęła obok stołu, na którym leżała wielka, długa, czarna książka, odbijająca jak plama na tle jasno-żółtej jutowej serwety.

Rachunki ukończone, wszystko spisane pięknie, podsumowane, a pieniądze złożone do szufladki.

Pani Croizelle może chwilę odpocząć i oczekiwać z czystym sumieniem nadejścia właściciela domu.

A rzecz to przecież niełatwa być portjerką tej wielkiej kamienicy, dzielącej się na dwie równe części i należącej aż do dwóch wrogo dla siebie usposobionych osób.

Bezustanne wynikają niesnaski, choćby z tego powodu, że właściciel z prawej strony

domu pozwala lokatorom swoim trzymać ptactwo, a zabrania mieć dzieci, psy i świnki morskie, — właściciel zaś strony lewej, poważny, siwowłosy sędzia pokoju, godzi się na dzieci i świnki morskie, a nawet toleruje psy, lecz nie pozwala trzymać ptaków i trzepać ściereczek przez okna.

Jedynie tylko pani Croizelle, lawirując pomiędzy temi trudnościami, jak łódź na falach morza, z niezwykłym taktem i uprzejmością proteguje płaczące się po dziedzińcu świnki morskie, koguty i dzieci w białych perkalowych czepkach. Poza spódnicą portjerki kryją się wszystkie kontrabandy obu połówek kamienicy, a właściciele, przybywszy po odbiór kwartalnych należitości znajdują zawsze dom pogrążony niemal w klasztornej ciszy, okna szczelnie pozamykane i schody wywoskowane, z dobrze wyciągniętymi dywanikami, po których zda się nigdy nogi ludzkie nie stępują.

Tylko w tylnych częściach kamienicy, w dziedzińcu kuchennym, który jak smrodliwa studnia zapada się wzdłuż sześciopiętrowych murów, słycać kwik zwierząt, ujadanie psa lub płacz dziecka.

Wówczas pani Croizelle wyciera nos z gwałtownością niezwykłą, dla pokrycia, owych kompromitujących ją głosów, lub narzeka na cienkość murów, oddzielających

dziedziniec kuchenny od sąsiedniej kamienicy.

Lecz dziś pani Croizelle jest spokojną. Od rana biegnąc do lokatorów i odbierając komorne, zapowiedziała solennie rozkaz jak największej ciszy i otrzymała odpowiednie przyrzeczenie.

— Musiałabym wymówić mieszkanie—dawała z żalnym odcieniem w głosie, — a jedynym mem pragnieniem jest być państwu dogodną!

Pięciofrankówka wpada do tłustej dłoni portjerki.

— Tak! Tak! Już wiem, jak mam postąpić... o państwo są tak dobrzy dla mnie!... Tylko proszę psa zamknąć na całe przedpołudnie; później biedny Bibi niech biega, ile się podoba!

I z dyskretnym półuśmiechem pani Croizelle wysuwa się do przedpokoju.

Dzień odbierania komornego jest dla pani Croizelle dniem żniwa i triumfu. Wszędzie jej dogadzają, tu i owdzie proszą siedzieć, śmieją się, żartują, pytają o zdrowie pana Croizelle lub Henrysia.

Konjak, wiśnie w wódce, abricotina, ba nawet *chartreuse* pojawia się na stole.

Pani Croizelle, czerwona, uśmiechnięta, zajmuje miejsce w sąlce jadalnej i sący kieliszek po kieliszku.

A mówi, mówi bezustannie, sznurując usta, spuszczać oczy, dumna z odgrywanej roli i udająca z chłopską przebiegłością zupełną bezinteresowność.

Ależ tak, mój Boże, ona pragnie tylko wygody lokatorów. Właściciele? — O! Ci ze zbytku nie wiedzą sami, co mają wymyśleć. Lecz cóż to dziwnego wobec terażniejszych rządów, panujących we Francji!..

I szącąc powoli konjak, zagłębia się w politykę ze zaciekłością mieszkanki Montmartru, którą plakaty wyborcze drażnią i podniecają jak kieliszek *anerpiconu*.

Czasem wpada w ton melancholijny, tęsknota za słoneczną Prowancją odzywa się w jej piersi. Pociąga wtedy nosem i narzeka na Paryż, drogość ryb, stęchliznę krewetek i błoto, zalegające dziedziniec.

— Żeby Paryż był w Prowancji — mówi śpiewającym głosem, — nie byłoby ani błota, ani deszczu, a przez to samo miałabym mniej roboty z czyszczeniem schodów.

O każde piętro wyżej pani Croizelle staje się czerwiejszą i czarne jej oczy świecą się jak iskry w popiele. Ale też stopniowo i kieliszki konjaku i chartreusy stają się rzadsze, a ich miejsce zabiera czarna kawa lub tanie, czerwone wino. W miarę gatunku trakamentu pani Croizelle staje się mniej wymowną, nie zagłębia się w politykę, półgębkiem

odpowiada na czynione jej pytania i, zgar-
nawszy pieniądze do kieszeni, znika z miną
osoby bardzo zaaferowanej i niemającej ani
chwili do stracenia.

Czasem pani Croizelle wychodzi z jakiego
mieszkania na poddaszu z brwiami zmarszczo-
nemi i twarzą nachmurzoną. Przekręca wów-
czas rurkowany czepek na lewe ucho i po-
ciąga fartuch tak silnie, że aż szelki pękają.

Troska nie lada!

Robotnik z szóstego nie zapłacił należno-
ści; mówi, że żona właśnie leży w ciężkiej
gorączce pokarmowej, a dziecko dogorywa.
Pani Croizelle rzeczywiście przez uchylone
drzwi dostrzegła zgorączkowaną twarz cho-
rej... lecz kto wie! Ci ludzie często kłamią,
a właściciel z nimi nie żartuje.

Czasem znów ktoś ze zamożniejszych nie
zapłaci, prosząc uprzejmie o zwłokę kilku-
dniową. Pani Croizelle robi minę zakłopotaną,
kilka franków spada do kieszeni jej fartucha.

Portjerka wychodzi z miną dyskretną, jak
osoba godna zaufania, i później stara się wy-
tłumaczyć właścicielom, dlaczego ta tłusta
pani z drugiego zaległa, lub to... młode mał-
żeństwo nie wypłaciło należnej sumy.

Lecz dziś pani Croizelle z czystem su-
mieniem oczekuje właścicieli. Wszyscy loka-
torowie co do grosza wypłacili komorne,
konjak u tych z pierwszego był prawdziwy

Martel, benedyktyńska u dziennikarki ma smak wyborny, wiśnie żony oficera doskonale przyrządzone i rozplývają się w ustach — cały dom, od strychu do suterenu, podziela polityczne przekonania portjerki, a co najważniejsza, spora ilość franków dzwoni w kieszeni jej fartucha.

Dwie tylko plamy zaciemniają horyzont myśli pani Croizelle.

Przedewszystkiem błada robotnica z facjatek, nad szóstym piętrem położonych, nie zapłaciła osiemnastu franków za swój pokój, Dziewczyna rano jeszcze zeszła do łóży pani Croizelle, uprzedzając, że niepodobieństwem jej będzie uiścić się z należności kwartalnej.

Przytaczała powody — mówiła, że w atelier nie wypłacono jej przypadającej na ten miesiąc sumy, skarżyła się na ból w piersiach i ogólne osłabienie. Mówiąc, opierała się o ścianę i kaszłała co chwila. Miała policzki zapadłe i ręce wychudłe nerwowo skubały brzegi dość lekkiej okrywki. Była młodą i przystojną blondynką, uroda jej jednak zwiędła, niktęła powoli, jak korona zerwanego kwiatu.

Pani Croizelle, popijając kawę z płaskiej salaterki, niechętnem mruczeniem przyjmowała słowa robotnicy.

Co chwila zwracała się do męża, który w szafirowej bluzie i w szaliku, okręconym

dookoła szyi, łamał chleb czterołokciowy i uśmiechał się wesoło.

Był to człowiek „rigolo“ w całym znaczeniu tego słowa; jako nalepiacz plakatów wyborczych, dni całe spędzał na bulwarach i w fałdach swej bluzy przynosił śmiech tłumowi, piosenkę katarynki, zapachy róż i fiołków, zaścielających chodniki.

I teraz śmieje się, przymrużając oczy i spoglądając na bladą dziewczynę stojącą obok stołu.

— Nie trzeba chodzić do Moulin-Rouge — mówi wesoło.

Lecz ona broni się żarliwie. Jakto? Do Moulin - Rogue? Ach! Kto ją tam widział? — Niech jej to powie w oczy, a pozna, jak jej ślina smakuje! Ona całe dni i wieczory spędza w pracowni, szyje, szyje bez końca. Jeśli wraca późno, to wtedy, gdy ją dłużej nad jakąś pilną robotą zatrzymują...

— Psie życie! — kończy prawie ze łzami.

Pani Croizelle potrząsa głową i wyraz litości przesuwają się po jej tłustej i rumianej twarzy.

— To wszystko wskutek teraźniejszego rządu — odzywa się, wzdychając, a potem dodaje, odwracając się do dziewczyny: — Kiedyż panna myślisz zapłacić?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

O mój Boże!... Czyż ona wie dokładnie?...
Może za tydzień, za dwa... za miesiąc

Pani Croizelle z niepokojem zwraca się
do męża:

— Słyszysz? Za miesiąc!

Lecz Croizelle już zjadł cztery łokcie
chleba i teraz koło komody szuka swego ce-
brzyka z klejem i potwornego pendzla. Zna-
lazszy, bierze pod pachę całą plikę plaka-
tów i krokiem kankanowym posuwa się ku
drzwiom.

— Niech żyje Francja! — woła już na
progu i, okrążywszy wkoło bladą dziewczynę,
wyrzuca ją poprostu do bramy.

— Dzień dobry pani Croizelle!

Poczem, zatrzaskując drzwi, wybiega na
ulicę.

Pani Croizelle więc ma tę jedną zgryzotę
na sumieniu; druga innego rodzaju, ale chyba
niemniejszym ją napełnia niepokojem.

Od pół roku w kącie domu z lewej stro-
ny mieszka młode małżeństwo, dość ciche
i spokojne. Niedobrana to para, bo on bar-
czysty, wysoki, rumiany, przedstawia typ
zdrowego, pięknego mężczyzny; ona blada,
mizerna, wątła, ma wygląd wiecznie chorej
kobiety. Pomimo to kochają się podobno,
a zwłaszcza ona, która do swego Roberta
jest bałwochwalczo przywiązana. Dnie całe
spędza w domu, krzątając się po maluchnem

mieszkanek, z miną zaaferowaną daje polecenia zasmolonej bonie i oczekuje na męża, który dość regularnie powraca do domu. Zwykle o piątej mała kobietka schodzi sama na dół, okrywając peniuar szerokim płaszczem, i powraca za chwilę, niosąc pęki fiołków i białych hiacyntów dla przystrojenia stołu podczas obiadu.

Pani Croizelle ze swej łoży dostrzega lokatorkę, niosącą kwiaty, lecz na widok tych wonnych wiązanek zachmurza się zwykle pogodne oblicze portjerki.

Pani Robert jest osobą nietylko małomówną i dość wyniosłą, ale przytem, jak istota z prowincji przybyła, nie rozumie, że sto sous, to haracz miesięczny, bez którego nie można ani na chwilę być pewnym dobrych względów portjerki.

Od pół roku pani Robert nie weszła nigdy do łoży, nie przemówiła uprzejmego słowa, nie włożyła franka do kieszeni fartucha pani Croizelle!

Dziś, naprzykład, przyjęto portjerkę w przedpokoju, wypłacono jej należną sumę dla właściciela i pożegnano milczącym skinnieniem głowy.

Pani Croizelle wyszła na schody, tłumiąc w sobie gniew z powodu obrażonej miłości własnej.

Co najwięcej sprawiało jej przykrości to to, że pan Robert znajdował się właśnie w salce jadalnej i przygotowywał sobie mazagan, nie myśląc wcale o poczęstowaniu portjerki. A przecież chyba żaden z lokatorów nie powinien sobie zaskarbiać więcej łask pani Croizelle, jak pan Robert. Wszakże to na jej ręce, do jej łoży.. przychodzą od dwóch tygodni małe liściki, ozdobione na kopercie niebieską jaskółką...

Liściki te pan Robert, wszedłszy pewnego dnia do łoży, kazał pani Croizelle zatrzymać u siebie i doręczać mu osobiście.

Mówił, siląc się na obojętność; ale pani Croizelle w głosie jego dosłyszała całą tajemnicę pokątnej miłości żonatego człowieka i z przebiegłością starej duenny, zyski z tego ciągnąc zapragnęła.

Od piętnastu dni więc przechowuje w szufladce drobne liściki z jaskółkami i oddaje je tajemniczo panu Robertowi, gdy ten powraca w południe na śniadanie. Napróżno jednak od dni kilku wyczekuje jakiegokolwiek za swą usłużność wynagrodzenia. Pan Robert chwyta bilecik, nie spojrzawszy nawet na Croizellową, i usuwa się do bramy, aby przeczytać małą ćwiarteczkę, zakreśloną drobnem kobiecym pismem, poczem gwizdząc „*Tour Eiffel*“, biegnie na górę, zdając się nie dostrzegać, ile żółci i nienawiści

wzbiera w sercu stojącej na progu łoży, portjerki.

Kobiecie tej zdaje się poprostu, że ją okradają z jej własnych pieniędzy, — że, nie dając jej datku, krzywdzą ciężko i ją i pana Croizelle i Henryczka, który przecież ciężko pracuje w Gagne-Petit i potrzebuje, doszedłszy do lat dwudziestu, mieć poważną sumkę w kasie oszczędności.

— Brudas! — mówi pani Croizelle, spluwając wślad za panem Robertem — brudas!... Gdzie się to wychował niedźwiedź taki, ale... źle robi oj, źle, źle!

Coś się niedobrego knuje w głowie pani Croizelle, jakaś chęć zemsty przewija się przez jej myśl bezustannie.

— Hm! Ona jest dobrą kobietą, ale każdy ma swoją ambicję i słuszne wymagania... Jeszcze gdyby ją byli choć mazagranem przyjęli i siedzieć prosili, może byłaby się na czas jakiś udobruchała... ale tak!...

I uderzywszy pięścią w stół, energiczna portjerka woła jedno, lecz wiele znaczące słowo:

— Zut!...

Uspakaja się jednak szybko, bo oto na progu łoży pojawia się sam właściciel domu Wysoki, suchy, zawiędły, z równo przyciętymi bakami, wchodzi do pokoju, nie zdejmując kapelusza.

— Pieniądze? — pyta, siadając na podsuwanem przez Croizellową krześle.

Portjerka otwiera szufladkę i wysypuje stos złota i srebra na stół.

— Rachunki?

I roztworzywszy książkę, sędzia pokoju suchym indagacyjnym głosem zaczyna sprawdzać kolumny cyfr i spisywać je na osobnym kawałku papieru..

Przez ten czas pani Croizelle stoi napozór spokojnie — wewnątrz jednak szczerze zakłopotana brakiem osiemnastu franków biednej robotnicy.

Właściciel wprędce brak ten dostrzega. Ktoś z facjatyki nie zapłacił..

— Tak! — bąka portjerka — numer czterdziesty trzeci, Eliza Launay...

— Proszę ją wyrzucić i to natychmiast. Niech nie płaci, lecz... niech idzie do diabła!...

— Chora jest... obiecała, że za tydzień...

— La, la! Znam tego rodzaju osoby. Za tydzień, za dwa, za trzy... mija kwartał, a rzecz zostaje jak jest. Proszę mi numer czterdziesty trzeci oczyścić...

— Ależ...

Niema ależ... Gdybyś mi pani nie wynajęła facjatek temu motłochowi robotniczemu, miałbym dziś moje osiemnaście franków...

Nagle pani Croizelle prostuje się, jakby ukąszona żądłem pszczoły.

Motłoch robotniczy!

— Kanalja! — dodaje właściciel, podpisując pokwitowanie — kanalja! Wrzeszczą po bulwarach i wtrącają się do polityki. Motłoch! Ulica!

Pani Croizelle czerwienieje jak piwonja; pomimo całego szacunku dla właściciela domu, czuje, że cała fala słów wybiega jej na usta.

Cofa się więc ku drzwiom i wychodzi do bramy.

Potrzebuje odetchnąć powietrzem chłodniejszym i nabrać trochę spokoju.

Cała gorąca krew proletariatu, wyrosłego wśród walki o chleb powszedni, burzy się w jej żyłach. Stoi tak chwilę, sapiąc ciężko. Chłodny wiatr jesienny nie może ostudzić jej skroni.

Wreszcie jakieś postanowienie błyska na twarzy. Tak! Tak będzie najlepiej. Woli zażytkować osiemnaście franków, lecz upokorzy tego spanoszonego mieszczucha, który „ulicą“ jej w oczy ciska.

I drżąc cała ze wzruszenia, powraca do łoży, a wyjmując z kieszeni fartucha cztery sztuki pięciofrankowe, kładzie je na stole, tuż obok książki rachunkowej.

— Oto są pieniądze, panie właścicielu — mówi zdławionym głosem; — robotnica przechodziła właśnie z pracowni i dała mi je,

prosząc o pokwitowanie. Pozwól pan jednak sobie powiedzieć, że gdyby p. Triard nie chciał zamienić prezydentury izby na prezydenturę wydziału rachunkowego, a p. Constans nie myślał o zamienieniu się na miejsce z p. Tirmanem, a p. Rouvier i p. Spuller nie myśleli o uciekaniu z ministerjum i wreszcie gdyby rząd terazniejszy nie miał określonego programu postępowania i niedozwolił takiemu oszustowi, jak klerykał Delahage, oczerniać Jouberta, wszystko byłoby inaczej...

Wyrzuciwszy ze siebie ten cały potok słów, przeczytanych wczoraj w *Latarni*, pani Croizelle triumfująco spojrzała na sędziego pokoju, który zdawał się być przybity potęgą jej wymowy.

— A teraz pan właściciel odda obywatelce Elizie Launay czterdzieści sous reszty i zechce wydać pokwitowanie.

Właściciel wrzucił ramionami i położywszy na stole monetę dwufrankową, podpisał podawany przez portjerkę kawałek papieru.

Odpowiadać jej... hm! Na cóżby się to przydało? On znał dokładnie tę lawę, minującą niespokojne umysły tej warstwy społeczeństwa. Wiedział, że ludzie ci czyhają tylko na sposobność wyrzucenia ze siebie całej powodzi słów, która ich poprostu dławi.

Jako trzeźwy i inteligentny człowiek, przyjął za zasadę niewdawanie się nigdy w dyskusję.

Pomówiwszy więc jeszcze o popsutych kranach i czyszczeniu zimowem kominków, wyszedł, uśmiechając się ironicznie i potrząsając głową.

W łoży została sama pani Croizelle.

Usiadła przy stole i, podparłszy się łokciami, zaczęła od plucia i mruczenia do samej siebie. Żal jej było osiemnastu franków, wyrzuconych tak nieopatrnie, i dławiała ją wściekłość przeciw właścicielowi.

Ulica! — mruczała — ulica!

Nie miała nawet tej ulgi, aby się przed kimś wygadać. Zwykle łoża jej wrzała życiem. W dnie zwyczajne w tych czterech ścianach, oblepionych jasnym papierem, kuły się plotki całego domu, smażyły i przetrawiały wszystkie wiadomości.

Pani Croizelle jaśniała wtedy pogodą i wymową, częstowała przybyłe fusami lub absyntem, czytała głośno całe ustępy z *Lanterne*, lub słuchała dobrotliwie, jak sługi obmawiały swych chlebodawców, wyciągając na jaw najsubtelniejsze tajemnice domowe. Lecz dziś, dzień był wyjątkowy, dzień przybycia właścicieli, z których jeden zjawiał się rano, drugi wieczorem. Bony przemykały się przez bramę, szeleszcząc spódnicami, i ginęły w za-

krętach schodów z minami sług, przywiązanych istotnie do swych państwa.

Nawet listonosze bez zwykłego hałasu otwierali drzwi łoży i cicho na brzegu biurka składali paczki dzienników i listów.

Pani Croizelle uczuła się bardzo nieszczęśliwą.

Dwukrotnie została dziś znieważona, dwukrotnie dotknięta w swej miłości własnej.

Na tak tkliwe serce było to zawiele.

Jakaś chęć odwetu zaczęła wzbierać teraz w piersi portjerki i rosła coraz silniej. Na właścicielu zemścić się nie mogła, ale zato na tych Robertach przyszłoby jej z łatwością.

Powstała od stołu i podeszła do szafki, ukrytej w murze. Na płaskim półmisku leżały ostrygi pootwierane już i z dwóch stron obłożone połówkami cytryny. Ostrygi były wielkie, jak kopyta końskie i biła od nich woń wody morskiej.

Pani Croizelle postawiła półmisek na stole, naląła sobie szklanek białego wina i ułamała trzy łokcie chleba. Poczem zasiadła do śniadania, lecz ostrygi nie prześlizgiwały jej się przez gardło.

Stanowczo była zanadto wzruszoną.

Nagle ktoś szarpnął drzwiami i w progu łoży stanął pan Robert.

— Niema nic dla mnie? — przemówił, mrużąc oczy.

Chwilkę pani Croizelle zawahała się.

Chciała powstać i w paczce pozostawionej na biurku poszukać listu z jaskółką. Lecz widok Roberta, jego zamrużone oczy, imperytynencki głos, wstrząsnęły nią całą.

Niema nic! — mruknęła, naciskając cytrynę na pławiącą się w sosie ostrygę.

Pan Robert trzasnął drzwiami i ze zawiedzioną cokolwiek miną wbiegł na schody.

Powoli ściemniało się.

Pani Croizelle, sprzątnąwszy skorupy ostryg i talerze, wzięła się do sortowania listów. Było ich kilkanaście, z Paryża i zagranicy. Zwykle pani Croizelle oglądała marki, przypatrywała się kopertom, macała dzienniki; czasem, wyjmując z opaski, czytała półgłosem.

Dziś była jednak zanadto zirytowana, aby mogła się bezkarnie oddać temu zajęciu.

— *Zut!* — mówiła, przerzucając listy z furją, tak, że niektóre spadły na ziemię — „*zut!*”
List z błękitną jaskółką dopełnił miary.

Cały potok powstrzymywanego gniewu wypłynął na widok tej miłosnej karteczki, zamkniętej w delikatnej kopercie.

— Ja ci ten list oddam, brudasie, ale tak, że pomiętasz mnie trzy kwartały — szeptała, drżąc ze złości; — a kto moje osiemnaście franków mi wróci? Może ty? Albo może twoja

miła żona ze swemi fiołkami, na które wyrzuca pieniądze...

Właśnie delikatny profil młodej kobiety zarysowuje się na szybach łoży. Owinięta ciemnym burnusem, przewija się jak cień przez bramę, niosąc ulubione przez męża kwiaty.

Portjerka z niedobrem spojrzeniem śledzi tę drobną postać, znikającą w cieniu bramy. Wstaje, otwiera drzwi i woła:

— Pani Robert!

Kobieta odwraca głowę.

— Czego? pyta wyniośle.

Ton jej głosu przyspiesza katastrofę.

— Jest tu coś dla pani!

Pani Robert wchodzi do łoży zdziwiona, tuż za nią wysuwa się wybladła robotnica, która z niepokojem pyta:

— Był właściciel? Cóż powiedział?

Lecz pani Croizelle jej nie odpowiada.

Z paczki listów dobywa kopertę z jaskółką i podnosząc dumnie głowę, wręcza ją pani Robert, która jedną ręką przerzuca hiacynty, fiołki i pęki białego bzu w połę płaszcza, a drugą ujmuje podawany list.

To dla pani — mówi pani Croizelle, spoglądając wyniośle na bledniejącą, bo przecucięciem targaną kobietę.

— A to dla panny — dodaje, podając robotnicy pokwitowanie; — zapłaciłam, ale pan-

na mi należytość zwrócisz za miesiąc, za dwa... zresztą gdy będziesz mogła...

Głos jej nabiera łagodniejszych tonów, gdy przemawia do tej dziewczyny z ludu, która drżąca z radości zaledwie oczom swym uwierzyć może.

— O! Pani Croizelle!... Jakże jesteś dobrą! — mówi ze łzami, ściskając rękę portjerki.

— No! No! Nic tak wielkiego — odpowiada Croizelle — wiem, że jesteś panną uczciwą i hynajmniej nie dumną, znasz się na grzeczności... nie tak, jak inne osoby.

Chce jeszcze coś dodać, lecz bladość, pokrywająca nagle lica pani Robert, mimowoli głos jej tamuje. Pani Robert, ulegając instyktowi kobiecemu, otworzyła list i teraz stała blada, z oczyma szeroko rozwartemi, wpatrując się w małą karteczkę, nakreśloną drobnem kobieccm pismem.

Kilkakrotnie potarła ręką po skroniach i stała tak oparta o ścianę, zapominając, zda się, że jest w loży portjerki i nie dostrzegając badawczego wzroku Croizellowej.

Z opuszczonych fałdów płaszcza wypadły na ziemię wiązanki fiołków i hiacyntów, i leżały u stóp kobiety, jak wieniec żałobny, na grobie szczęścia złożony.

W sercu pani Croizelle, na widok tej bezmiernej boleści kobiecej, zaczęła się budzić litość i jakby chęć niesienia pociechy.

Zbliżyła się do pani Robert i ze współczującym wyrazem twarzy, zapominając niemal, że ona była pośrednią sprawczynią tej ciężkiej krzywdy, zaczęła słodkim głosem:

— Pani ma jakieś zmartwienie?... Pani tak pobladła!...

Lecz stojąca przy ścianie kobieta oderwała się z cienia, pod wrażeniem głosu portjerki, zdawała się powracać do przytomności i odzyskiwać panowanie nad sobą.

Wrodzona jej duma budziła się, nie chciała poddawać pod wzrok ciekawy trywjalnej istoty rozpaczy, która jej duszę szarpała.

— Nic mi nie jest — odrzekła z wysiłkiem; — dziękuję pani za jej troskliwość.

I zebrawszy dookoła siebie fałdy ciemnego płaszcza, znikła we drzwiach schodowych, jak cień dumny i nieugięty.

Pani Croizelle zmarszczyła brwi, patrząc z nienawiścią na oddalającą się kobietę.

— Brudna Prusaczka! — mruknęła, nie mogąc w duszy swej znaleźć większej obelgi dla ulżenia swej złości.

Tymczasem robotnica, ukłękawszy na ziemi, zbierała fiołki i hiacynty, rozsiane na podłodze.

PIERWSZY ŚNIEG.

PLATKI CHWYTANE W POWIETRZU.

Skrzy się po nocy, a po dniu bieli jak suknia oblubienicy.

Zdaleka miękkie i zda się ciepłe jak puch, zbliżona mroźne jak... serce mężczyzny. A pełno tego w powietrzu, kręci się jak miliardy białych motylków, niezdecydowanych, czy do ziemi przypaść, czy w niebo ulecieć... kręci się w zawrotnym tańcu, podbiega, już już zda się, że osiądzie... Nie! Patrz, dalej ucieka, jak kokietka dziewczyna w kotyljonowej figurze.

Gdy byłam małą, mówiono mi, że śnieg to pióra aniołów, które ze skrzydeł swych strząsają — wyciągnęłam rękę, kilka tych białych płatków spadło mi na dłoń, lecz zamiast piór anielskich ujrzałam po chwili kroplę wody... kroplę, bardzo do łzy podobną.

I w brylantach śniegu dojrzałam wiele smutku i niedoli ludzkiej obok promiennych blasków djamentów, białości angorowej roztundy i tonów walca, płynących zdaleka.

Pierwszy śnieg! Ten pierwszy, który niesie ze sobą zapowiedź groźnej zimy, szalu karnawałowego, całunów grobowych i tych

wspomnień serdecznych, co to ich z serca nie wyrwać, nie wypalić żadnym kamieniem piekielnym... I zieleń wiosenna, i wieczór letni, i szum liści jesiennych i... pierwszy śnieg niosą nam całe mary przebytych smutków i radości. A głowa wiecznie się za przeszłością obraca i coś tam w tej ciemnicy szuka, a szuka, aż łzę gorzką wynajdzie -- łzę, co uśmiech zetrze

Aniołowie srebrnymi skrzydłami szeleszczą, pióra na ziemię lecą i lecą, a ludziom niosą ze sobą trochę uśmiechu, lecz zato dużo łez... łez.. łez!...

* * *

Sypialnia małej hrabianki.

Półcień dyskretny. Nad łóżkiem kotary różowe, pokryte kremową koronką; dywan *crème* w wielkie różowe róże; gotownia lśniąca od kryształów i srebrnych przyborów, meble miękkie, kryte różowym pluszem, narzucone kremowemi koronkowemi kwadratami. Potworny mops z wykrzywioną mordką przewraca się po dywanie.

Hrabina (kładąc szlafrok, podbity białym atłasem, i przewracając gwałtownie na toalecie całą serję pilniczków). Nie wiem prawdziwie, dlaczego wstałam tak wcześnie; jedenasta godzina — mieć będę oczy czer-

wone i płeć straci swą przejrzystość. . . .
I tak dziś nigdzie nie wyjdę, bo nawet wyjechać niepodobna podczas tak brzydkiej pory. Nie pojmuję, paco Bóg urządził te „pory roku...“ To dobre dla astronomów i dla tych, co wydają kalendarze; ale co mnie naprzykład po jesieni? Co mnie jesień obchodzić może?

Wchodzi *panna służąca* i powoli odsuwa zasłony u okien.

Hrabina. Co robisz? Wiesz, że blasku znieść nie mogę.

Panna służąca (do siebie). Spodziewam się... pierwsze zmarszczki!

Hrabina. Co mówisz?

Panna służąca (układnie). Nic, pani hrabino... mówię tylko... o! Ten pierwszy śnieg!

Hrabina (biegnąc do okna). Śnieg? Mówisz śnieg?... Ależ to niepodobna!

Panna służąca (do siebie). Pa! Pojechała! (Głośno). Tak, pani hrabino! Padał całą noc... O! Jakie wszystko białe..

Hrabina. (przerażona). Prawda!... Lecz, wielkie nieba! Co teraz ze mną będzie?

Panna służąca. Co pani hrabinie się stało?

Hrabina (padając na fotel zupełnie zgnębiona). Nie mam w co się ubrać!...

Panna służąca. Jakto? A kostjum pluszowy? A dolman wyłaczany? A żakietka angielska?

ska? A okrycie z chinchill? A rotunda z brokartu? A kostjum *olive*? A...

Hrabina. To wszystko jest niemożliwe... Teraz noszą szewioty!... Potrzebuję szewiotu!... Na miłość boską, szewiotu!...

Panna służąca. Może pani hrabina każe zaprząć i pojedzie do Toiron wybrać sobie jaki paryski model...

Hrabina. Tak — ale w czymże pojedę? w czym? Nie przypuszczałam nigdy, że ten pierwszy śnieg tak prędko spadnie... Odkładałam z dnia na dzień; ach! Jestem biedna! Tak biedna, jak ostatnia nędzarka!

Panna służąca (dusząc się ze śmiechu). Pani hrabina ma rację — położenie jest bez wyjścia.

Hrabina (płacząc). Prawda? Ty mnie przynajmniej rozumiesz!

Panna służąca. Wreszcie na coś zdecydować się trzeba. Pani hrabina owinie się w rotundę i pojedzie w karecie. Nikt pani nie dostrzeże.

Hrabina (zrywając się gorączkowo). Masz rację... każę jechać szybko... Przygotuj mi także gęstą ciemną woalkę. Spaliłabym się ze wstydu, gdyby mnie kto tak ubraną zobaczył.

(Panna służąca wychodzi, kopnąwszy ukradkiem mopsa).

Hrabina (sama, ubierając się pośpiesznie). Jestem cała w gorączce. Byleby tylko *Toinon* miała „*demidoff*“ lub „*vieux singe*“. W innych kolorach trudno się pokazać. Ale ten śnieg! Ten śnieg!... Tak niespodzianie... O! Mój Boże! Ależ to adwent się zbliża! Ksiądz *Ewaryst* kazał mi odwiedzać moich biednych co tydzień, a ja już pięć tygodni nie byłam u tej biednej wdowy. Ale też, jak można mieszkać na takiej ulicy i w dodatku tak wysoko:... A co za schody!... Ostatnim razem zgubiłam obcas!.. Najwyraźniej obcas!... Trzeba zjechać do nich... Ksiądz *Ewaryst* gniewać się będzie... No tak! Ależ w rotundzie jechać tam nie mogę. Szewiot! Tylko szewiot można nosić podczas pierwszego śniegu... wszystko inne jest „*déplacé*“. Ha! Trudno — moja biedna wdowa musi poczekać.

Nie mogę się kompromitować.

* *

Ciemno było zupełnie, a mała *Julka* nie myślała wejść do oświetlonej sali; siedzi tuż przy oknie z twarzą przylepioną do szyby i patrzy, patrzy na jasną oponę, co się tak po całym dziedzińcu bieli.

To śnieg, pierwszy śnieg, który pada od wczoraj wieczora i nie rozplywa się w błocie, jeno ziemię niby puchem owija. Koleżanki

Julci cieszą się serdecznie z tego białego gościa. Przełożona pozwala im od czasu do czasu wybiec na dziedziniec i nabrać w ręce tego dobrego śniegu, który, zimny będąc, aż parzy drobne paluszki. I teraz, zebrane wkoło wielkiego stołu, aż śmieją się z uciechy i marzą o dostaniu miążskiego cukru, aby go pomieszać z czyściuchnym śniegiem i zjeść na deser po nędznym pensyjnym obiedzie.

Tylko ta biedna sierotka Julcia nie dzieli ich radości!... Siedzi w ciemnym pokoju i myśli Bóg wie o czym... Szkoda, że taka smutna! Bo miła to i ładna dziewczynka z oczyma czarnymi, tak czarnymi jak jej żałobna sukienka!...

O czym ona jednak może tak myśleć, siedząc przy tem oknie?... Może myśli także, skąd dostać cukru i pomieszać go ze śniegiem?...

Tymczasem z czarnych oczu Julki płyną wielkie, gorące łzy... Latarnia, płonąca tuż pod oknem, rzuca blask na cały dziedziniec i migoce żółtawem światłem w zażawionych zrenicach dziecka. Drobna, mała twarzyczka ściąga się pod wpływem wielkiej wewnętrznej troski... Myśl dziecka krąży daleko, daleko... koło świeżej mogiły, gdzie spoczywa jej ukochana mateczka. Mogiła ta, nieosłonięta drzewami, naga, czeka na kamień, który krewni położyć przyrzekli. Julcia przymyka

oczy i widzi ten grób biedny, a tak dla niej drogi, owiany całą masą śniegu, pokryty tym zimnym całunem...

I usta dziewczynki szepcą cicho, bardzo cicho :

— Mateńko! Tobie zimno pod tym śniegiem!... Mateńko!..

* *

Widzieliście kiedy dwoje zakochanych?

Widzieć ich musieliście nieraz — ale czyście ich widzieli idących po śniegu, w noc jasną i pogodną, kiedy to anielskie piórka w kobierzec się uścielą i po powietrzu kręcić się przestaną...

Idzie więc dwoje tych młodych.. Idą tak cicho, że można przysiąc, iż to duchów para zbiegła na ziemię i skrzydła zgubiwszy, po ziemi w noc zimową się snuje. Ona tuli się do niego, tuli tak blisko, że prawie stanowią jedno, — a on kroki swe stara się zastosować do jej drobnych nóżąt, które szybko migają, okryte wysokimi, ciepłymi bucikami.

Śnieg tylko chrupie pod ich nogami, drzewa wyciągają bezlistne ramiona, snując delikatną koronkę ciemnych, nagich gałązek.

Oni idą ciągle, pochyleni ku sobie, chroniąc się wspólnie od płatków śniegowych, które z podmuchem wiatru kręcą się chwi-

lami w powietrzu... Delikatnie, z miłosną pieśczołą on zdejmuję te srebrnawe gwiazdki, czepiające się jej jedwabnych włosów, wijących się nad ciemnymi brwiami. Patrzy przytem na nią z całą potęgą uczucia, tego uczucia, co dwoje ludzi do Boga zbliża i serca im w piersiach zamienia, — a cała biel, otaczająca ich dokoła, zda się być bielą ślubnej komnaty, pełnej uroku i rzewności dziewczęcej.

Brylanty ścielą się im pod stopy, a oni, zapatrzeni w siebie, zdejmują pocałunkami wilgotny śnieg z rzęs i powiek, mówiąc cichym, stłumionym głosem:

— To pierwszy śnieg,... pierwszy śnieg!...

* *

— Nie jestem pomściwa, ale żeby ją...
djabli wzieni...

Zimno nie na żarty, dziedziniec cały białą płachtą pokryty. Nawet studnia ma białą czapkę, a karetę, której niedbały stangret nie wtoczył do wozowni, wygląda jak w czepcu olbrzymim. Ciasne to podwórko z czterech stron okolone murami, to też śnieg napadał tu chyba na pół łokcia, bo nigdzie to przewiewu nie miał i co kruszynę podleciał, to się o mur znów odbił. I tak Hanka będzie miała dość śniegu do zbierania, ino że to

z tem zbieraniem trudno, bo pani każe czyściuchny śnieg przynosić.

A jakże to czyściuchny śnieg ma być, kiedy się to psy i różne bestje po podwórku włóczą? Już się o koniach nie mówi, co ich ciągle do powozów zaprzęgają. A przecież wiadomo, że zwierzę rozumu nie ma, ani względności nijakiej.

Czy bo te psy, koty, konie, wiedzieć mogą, że ta pani z pierwszego piętra to co rano w zimie się w śniegu cała myje? Nie, zwierzęta o tem nie wiedzą, bo one o płęć nie dbają... Gdyby wiedziały, toby może zostawiły Hance choć kawałek dziedzińca z czystym, niezabłoconym śniegiem.

Hanka musi co wieczór iść zbierać śnieg, aby, przez noc stojąc w pokoju, rozpuścił się i był dla pani dobry do mycia; pani już ma czterdzieści lat, ale jest wdową i chce być długo młodą i świeżą...

Dlatego to Hanka dziś musiała zbiec w nocy, i włócząc się po wilgotnej ziemi, zbierać rękami śnieg i układać go we wielki, nowiutki szaflik. Hanka kaszle i piersi ją bolą. Dzień cały prała, a ręce ma do krwi pokłute szpilkami, które pani często w spódnicach zostawia,—ale służba przedewszystkiem, a pierwszy śnieg podobno nadaje cerze rumieńce i pozór młodości.

Pies jakiś błąka się po dziedzińcu i szczerka na pochyłoną dziewczynę. Od czasu do czasu wskakuje na kupę śniegu i łapami rozrzuca dokoła zebrany przez Hankę śnieg... Ona odpędza go kułakami, a obcierając oczy rękami, unurzaniem w tym pierwszym śniegu, mówi:

— A niechby ją djabli wzieni tę...

Kaszel przerywa jej — i słowa niedokończone zamierają na zsiniałych ustach...

* * *

Jest ich sześcioro w dwóch maluchnych pokoikach, z których jeden jest kuchenką. Jeszcze szarawo na dworze, a oni już wstają, wstają cicho, spokojnie, smutno, jak ci, do których dola się nie śmieje. Oj! Nie śmieje się ona w tem ciasnym i biednym mieszkanku! Dola to szara, jak pajęcza przędza, a rwie się co chwila i z trudnością namotać się daje. On jest urzędnikiem, mającym bardzo skromną pensyjkę, — ona łąta, gotuje, pierze, szyje i w wolnych chwilach czytać uczy młodszą dziatwę. Starszych dwóch chłopców chodzi do szkoły, ot, krwią im poprostu kupują książki i kajety. A mimo to jakże ciężko jeszcze dzień do dnia podobnym uczynić! Ot i teraz — w szarawej mgle poranka stoją wszyscy zasmuceni, zgnębieni. I jest czego!

Buty najstarszego chłopca, buty biedne, wykoszlawione, pełne przyszczypek, łat, zelówek, rozlały się zupełnie, do szczętu.

Stefcio do szkoły iść musi, musi koniecznie — w czymże pójdzie? Tembardziej, że dziś pierwszy śnieg upadł i biało na ziemi — więc o podeszwach z tektury myśleć nawet nie można; cała rodzina tedy stoi, milcząc, koło chłopca, który połykając łzy, trzyma w rękę swoje nędzne obuwie, tak nędzne, jak jego dola, jak przyszłość, która przed nim się ściele.

Nawet najmłodsza dziewczynka, dwuletnia Maniusia, stoi zgębiona, z piąstkami przy oczach, nie pojmując, a przecież nerwowo odczuwając smutek całej rodziny.

Nagle matka porywa się z miejsca.

— Trzeba moją szubę zastawić.

— Twoją szubę?... Nigdy! — odpowiada ojciec. — W czym pójdiesz do miasta?

— Mam jeszcze szal, ciepły, o, bardzo ciepły! — woła matka i drżącymi rękami wydobywa z szafy szubę watowaną, okładaną imitacją skunksów, szubę biednej kobiety, która chce mieć rzecz ciepłą i praktyczną zarazem. — Maglarka mówiła mi wczoraj, że da za nią rs. 7. Pójdę do niej.. wolę jak do żyda.

Febrycznie, gorączkowo odpina białe prześcieradło, w które szuba jest zawinięta,

i nie patrząc prawie na nią, przerzuca ją przez plecy.

Mąż ze smutkiem spogląda na gotującą się do wyjścia kobietę.

Ta szuba to jedyna pozostałość z całej wyprawy, wyprawy ręką matki sporządzonej przed laty, gdy wstępowali w życie z wiarą i ufnością bezmierną...

Dziś i ten ostatni szczątek pójdzie tam, gdzie jest wszystko, co cenniejsze, co więcej wartościowe.

— Przeiębisz się!... — wtrąca nieśmiało, jakby wstydząc się swego ubóstwa przed tą kobietą, która nigdy nie skarżyła się, pomimo braku i cierpień wielkich.

Ona odwraca się ode drzwi.

Coś anielskiego bije z jej oczu zapadłych, smutnych, okrążonych siną obwódką.

Ja zaziębić się mogę — odpowiada z uśmiechem, — ale dziecko iść bosą nogą po pierwszym śniegu nie może, nie powinno!

I znika za drzwiami, zostawiając męża znękanego pomiędzy gromadką milczących i smutnych dzieci

* * *

...Ubrali ją ciepło, włożyli nowe buciki, długie, ciepłe, flanelą wysłane i wyprowadzili na spacer.

Buzia się śmiała tej małej dziewczynce, oczki iskrzyły. Nóżki, spowite w białe kamaszki, śnieg mocno deptały. Po każdym stąpieniu zostawał na śniegu ślad maluchnej stopki, zbrojnej w obcasik, maluchnej, a przecież rasowej, wążiuchnej — i tak te ślady ciągnęły się wzdłuż alei, zamiecionej śniegiem, pokrytej jakby pianą cukrową.

Niepodobna było oprzeć się prośbom dzieciny: pierwszy śnieg, spadły na ziemię, obudził w niej pragnienie wielkie wyjścia do ogrodu, biegania po tym puchu, który wabił ją, jak świeża, miękka pościółka.

I długo, długo biegało białe ubrane dziecko wśród śniegowej bieli, błyszcząc tylko puklami złotych włosów i migocąc gwiazdami oczu, wielkich, błękitnych...

Z okna przyglądała się uśmiechnięta matka i przesyłała całusy swej jedynaczce, kręcącej się jak wielka śniegowa kula wśród zasnieżonych trawników, jak kwiat mistyczny, wśród śniegu wyrosły.

A przecież ten pierwszy śnieg nie biel weselną, lecz kir żałobny przyniósł ze sobą uśmiechniętej matce. Dziecko umarło, umarło nazajutrz, przyniósłszy z ogrodu tchnienie śmierci w zziębniętych usteczkach! Rzechy można, że ci aniołowie, którzy tam z góry strząsali ze skrzydeł swe śniegowe pióra, dojrzelili dziecinę i pozazdrościli ziemi tej prze-

czystej duszyczki. Zabrali jak swoją, zabrali na zawsze... uśpiwszy wprzód na wieczny sen!

I z okna splakana matka, konając prawie z bólu, patrzy, jak płatki śniegu padają na małą trumienkę, którą z domu wynoszą. Trumienka to biała jak czoło jej martwej dziewczynki!... Śnieg iskrzy się tylko na aksamicie, jak srebrna łza...

Jęk bólu rozrywa pierś matki, a śnieg pada wciąż, pada nielitościwy, mroźny, wilgotny, zabójczy...

O! Ten śnieg!... Ten pierwszy śnieg!..

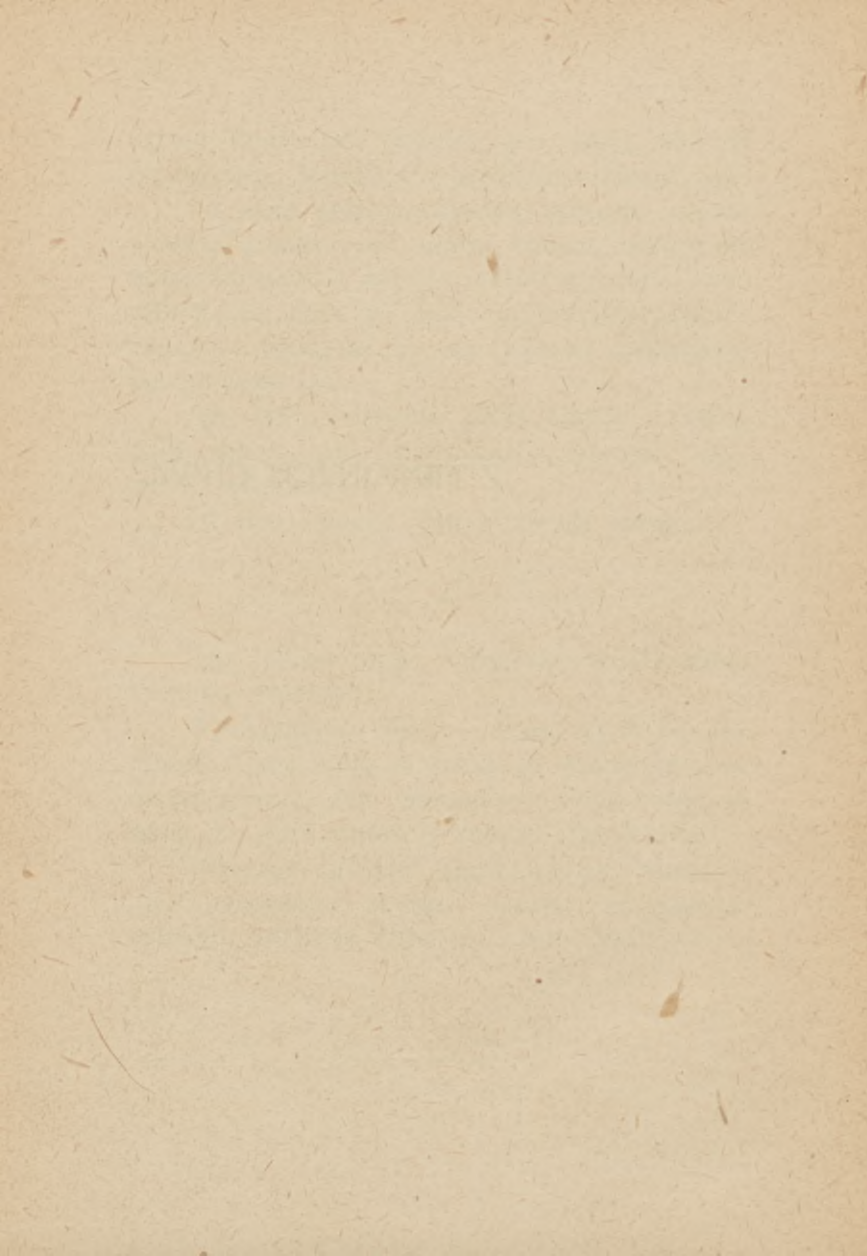
* * *

Gdy byłam mała, mówiono mi, że śnieg to pióra anielskie.

Wyciągnęłam rękę — śnieg się w łzę zamienił. Czyż moją to winą, że więcej łez pada na ziemię, niż uśmiechu? Czyż moją to winą, że poza radością smutek się skrada?

Dlaczego człowiek obraca głowę i w ciemnicy przeszłości szuka... szuka... aż zamiast śmiechu znajdzie dużo łez... łez... łez!?!..

Z MINIONYCH CHWIL.



Teraz przy fortepianie Juljan pozostał sam jeden.

Wszyscy udali się na kolację i z pobliskich pokoi dolatywały gwary, śmiechy, szcęk kieliszków i zapach dobrej kuchni.

Juljan powstał — odsunął taburet i otarł spocone czoło.

Nie śmiał jednak odejść od fortepianu, jakby czując, że tylko kilka tafli pośadzki wyznaczono mu do przebywania.

Wyprostował znużone palce, aż trzaśły w stawach — i przygasłemi oczyma spojrzął dookoła pustej sali.

Na posadzce, jak na pobojuwisku, walały się strzępki koronek i pęki piór różnobarwnych. Opodał przewróconego taburetu leżał mały karnecik balowy, oprawny w srebro i błyszczący jak gwiazda.

Juljan wpatrywał się w ten lśniący punkcik, jak człowiek bliski obłędu. Kąciki ust jego drgały nerwowo, pierś oddychała szybko.

Był to młody jeszcze mężczyzna, liczący najwyżej lat trzydzieści — lecz życiem dziwnie znekany.

Oczy podsiniałe, policzki zapadłe, mówiły o nocach nieprzespanych, strawionych przy tej klawjaturze, która, jak zwierzę żądne krwi i ciała żyjącej istoty, wyciągała szereg swych białych klawiszów.

Czternastą noc z rzędu Julian grał do tańca — i ręk już nie czuł i drżał cały z wysilenia.

Lecz cóż począć miał?

W domu żona, Andzia — biedne, niezadowolone stworzonko; wszak jej potrzeba dać kąpiel ciepłą, obiad, sukienkę.

Ona sama nie zarobi. Boże miły... jakże? Córka urzędnika, wychowana na pensji, nie jest stworzona na zwykłą robotnicę. Dostyć, jeśli mu pantofelek do zegarka wyszyje, lub sobie kapę na łóżko szydełkiem zrobi.

On jej tego niema za złe! O! Broń Boże!... On ją kocha bardzo, bardzo — i chętnie grałby jeszcze dwadzieścia nocy, tylko dziś mu jakoś dziwnie nie idzie, palce się płaczą, ręce w łokciach mdleją, a przed oczyma tysiące świateł miga...

A głowa... głowa cała rozpalona jak węgiel i pragnienie go dręczy.

Wyciągnął powoli rękę.

Ze stojącej w kącie palmy, liście, jak wielkie wachlarze, zwieszały się nad jego głową.

Juljan kawałek liścia urwał i, włożywszy w usta, żuć począł.

Sprawiło mu to ulgę, chłodziło spieczone wargi.

Gwar w sali jadalnej wzrastał się ciągle.

Pito właśnie zdrowie „pięknych dam“ — damy ze śmiechem dziękowały.

Juljan niespokojnie spojrział ku drzwiom.

Czy w tym domu nicma zwyczaju podawać grajkowi coś do jedzenia?

Nie dla niego — o, nie! On sam głodny nie jest... ale... to... dla niej, dla Andzi!

Ona tam czeka z pewnością, na kawałki tortu lub na mandarynkę, którą on jej codziennie nad ranem w kieszeni zniszczonego fraka przynosi.

Siada wówczas na łóżku, od snu cała ciepła, różowa i, wyciągając kształtne rączęta, pyta:

— A co było na kolację?

Zajada przytem tort, lub skubie pomarańczkę, nie otwierając prawie zaspanych ocząt — a on, zdejmując drżącemi od wycieńczenia rękami balowe ubranie, odpowiada na jej pytanie:

I jakże często kłamać on musi!

Czyż może przyznać się swej Andzi, że „wynajęty grajek“ rzadko kiedy siada do pańskiego stołu i wie, co „jest na kolację“?

Najczęściej przynoszą mu do salonu i stawiają na fortepianie zimne resztki, złożone na jeden talerz — okruchy ciast i mały kieliszek wina.

Czasem lokaj nie doda noża i widelca, uważając te narzędzia cywilizacji za niewłaściwe — czasem krem lub lody topią się w podlewie sarny lub zająca...

Czasem nie przynoszą nic prócz szklanki herbaty i suchych ciasteczek...

Lecz Julian tego swej Andzi opowiedzieć nie może.

Wszakże ona z trudnością zgodziła się na „wynajmowanie się“ Juliana podczas karnawału. Częścią duma, częścią zazdrość była tu głównym czynnikiem.

— Będziesz grał do tańca, jak jaki katarzyniarz — mówiła, wydymając usteczka.

On jej tłumaczył, że to nie jest uchybienie, bo wielu jego kolegów z konserwatorium czyni to samo.

Mówił — a przecież głos mu drżał i czuł, że ciężko mu będzie talent swój skaczącej zgrai dać na wysługi.

Lecz nędza była za progiem — a lekcji coraz ubywało, bo nawet dzieci po kinderballach przesypiały ranki, nie chcąc zasiadać do fortepianu,

Więc unikając wzroku żony, czyści swój ślubny frak benzyną i ogląda zżółkły od leżenia krawat.

Ona znów czepia się jego ramienia, zachmurzona, zmarszczona...

— Tak! Idziesz tam, żeby się do pań umizgać! A ja wiem... ja przeczuwam, co to będzie!...

Bo zwyczajem żon biedna Andzia sądzi, że jej wychudły, kaszlący, biedny Julek musi zachwycać nawet „damy“ i nawzajem je uwielbiać.

A tymczasem te „damy“ śmieją się i bawią ochoczo, potrząsając ufryzowanymi głowkami, rozmarzone winem i walcem, który im jeszcze brzmi w uszach, — nie myśląc nawet, że w opustoszałej sali został człowiek, z pod którego wychudłych palców melodia tego walca płynęła...

I człowiek ten stoi z pochyloną głową, obłany cały potokami światła, patrząc szklanymi oczyma w przestrzeń.

Cała tragedia balu, znużenia, poniżenia a nawet głodu, bije z tej wynędzniałej postaci, czerniącej się jakby jakaś mara, czarnym całunem wytartego fraka okryta, wśród jasności, rozlanej w pustej sali balowej.

* * *

Wreszcie wynajęty lokaj otrzymał z rąk panny Pelagji, zarządzającej domem państwa Józefostwa, mały talerzyk, na którym obok pożarskiego kotleta złożono kawałek prowanckiego tortu i ośnieżoną w cukrze pomarańczkę...

-- Zanieś temu... tam!

I wskazała drzwi salonu.

Lokaj kierował się już ku sali, gdy panna Pelasia zawołała go.

— Masz, daj mu to jeszcze!

I dołożyła strzelający cukierek, owinięty w różową bibułkę i złotą bordjurkę.

— Musi mu się jeść chcieć — wyrzekła, kiwając dobrotliwie głową.

Panna Pelasia bowiem miała dobre serce i lubiła jeść dobrze a dużo.

Lokaj nieznacznie wzruszył ramionami.

Jemu się tam jeść nie chciało, bo sumienie podzielił się „kanapkami“, a samego kawioru zjadł pół talerza.

Po drodze jednak ściągnął z talerzyka pomarańczkę i ukrył w kieszeni od fraka.

Wszedłszy do salonu, postawił talerzyk na fortepianie i, nie mówiąc ani słowa, pełen godności, począł lampy poprawiać i taburety ustawiać.

Juljan spojrział na talerzyk.

Zobaczył kawałek tortu i cukierek.

Uspokoił się więc chwilowo.

Mała tyranka bowiem nie przebaczała mu nigdy, jeżeli wrócił z próżnymi rękami. Dąsała się dzień cały — ba! Czasem mówić nie chciała...

Zdawało się jej, że on o niej zapomniał wśród balowej wrzawy, lub — co gorsza — myślał o innej kobiecie.

— Pewnie strzelałeś oczami po tych wygorsowanych kobietkach! O nie przecz... ba-wiłeś się pewnie wesoło, szczególnie podczas kolacji.

Mój Boże!

Gdyby ona wiedziała!

Julian zbliżył się teraz do talerzyka. Czuł, że przelknąć coś powinien, bo siły go opuszczają, a noc jeszcze przed nim długa... nieskończona...

Spróbował zjeść kotlet, ale zimna ta siekanina, powalana tortem, wydała mu się w tej chwili poprostu wstrętną. Z najwyższym wysileniem przelknął zaledwie kawałek.

Teraz szło mu głównie o ukrycie tortu i cukierka; papier miał zawsze na ten cel w kieszeni przygotowany.

Sama Andzia pilnowała, aby czysty arkusz papieru znajdował się w kieszeni od fraka.

— Dla Andzi, na tort — mówiła z przypileniem.

W swem ubogiem pojęciu przypuszczała, że żaden bal bez... tortu się nie obejdzie.

Juljan obejrzał się po sali i spotkał się z zuchwałem spojrzeniem lokaja, ustawiającego krzesła.

Najęty fagas — rumiany, tęgi, dobrze odżywiony, z dziwną ironją spoglądał na wychudłego grajka.

I stali tak naprzeciw siebie ci dwaj „wolni najemni“, opłacani za noce, wynajmowani do zabawy drugich.

Jeden oddawał swój talent, iskrę bożą przytłumiał w siekaninie walca lub polki — zamierał prosto od zmierzchu do świtu, obłany cały zimnym potem, z duszą zamartłą, płaczącą się wśród powodzi tonów, — drugi wynajmował swe barczyste plecy, wyniosłą postawę, bezczelną arogancję i siłę fizyczną, brutalną, zwierzęcą, pełną chęci rzucenia się pomiędzy wirujące pary i zgniecienia ich w zuchwałym ruchu potężnego ramienia.

Patrzyli chwilę na siebie i Juljan zazdrościł tamtemu jego barów szerokich i zdrowia, tryskającego z czerstwej twarzy.

— Gdybym ja miał te siły — pomyślał, — mógłbym grać jeszcze ze dwa tygodnie z rzędu... Andzia miałaby wiosenne okrycie i mieszkanie byłoby zapłacone.

Lecz tok myśli urwał się nagle w jego schorzałej głowie...

— Co ja jej dziś opowiem? — myślał dalej — co na tę kolację wymyśleć?... Kotlety... wiem, lecz co dalej?... Co dalej?...

Rękę do czoła podniósł.

— Co dalej? — prawie głośno zawołał. Fagas ze zdziwieniem podniósł głowę.

— A no nic — odparł, zabierając się ku wyjściu; — co mi dali, tom przyniósł. Jest tam jeszcze majonez i sarnina, ale to... dla państwa...

I powłócząc nogami, wyszedł.

Juljan spojrział za nim oczami, które co chwila stawały się więcej szklane.

— Majonez... kotlety... sarnina... — szepnął machinalnie — dobrze, że wiem, bylebym nie zapomniał.. tak mi się w głowie myśli dziwnie płaczą...

Usiadł machinalnie na taburecie przy fortepianie.

Odetchnął głęboko.

Był teraz dziwnie blady, a skronie mu płonęły.

— Dziwne, dziwne!... — mówił sam do siebie — co mi jest?... Co mi jest?... mój Boże!...

Lecz nagle porwał się z miejsca.

Tort!

Zapomniał o torcie.

Szybko wyjął papier i włożył weń białą, topiącą się masę. Cukierek schował osobno.

Tort przykrył swym wytartym cylindrem i zajął napowrót swe miejsce.

Siedział tak nieruchomy długą chwilę.

Nagle drgnął, bo krzyk przenikliwy rozległ się na progu sali:

— Mazura!

I z pod wychudłych palców Juljana rozległ się huczny mazur, a na salę wbiegło całe grono dam i mężczyzn, szeleszcząc trenami, flirtując, śmiejąc się, roztaczając dookoła tumany pudru i woń nicejskich fiołków.

Zaczęto tańczyć wesoło, ochoczo.

Pary skręcały się, rozwijały, spletały razem; pióra na głowach tancerek podnosiły się jak skrzydła motyle.

Zapach, dobywający się ze staników brunetek lub włosów blondynek, unosił się w powietrzu...

Teraz mazur przeszedł w walca i znów wszystko zawirowało w zmysłowym upojeniu.

Był to walc hiszpański, o kastanietach i czarnych oczach szepczący...

Juljan grał go z gorączkowym wysiłkiem, przymykając oczy i kurcząc od czasu do czasu nerwowo swe wychudłe ramiona.

O tak, — ten walc hiszpański on sam ze swej duszy wyśpiewał — jeszcze przed laty, gdy marzył o życiu niezależnem, wśród harmonji, sławy, swobody...

Lecz ta melodia przez niego ukochana, wypieszczona, z tchnieniem miłości powstała, służyć miała teraz kilkunastu parom do kręcenia się w takt, jak lalkom w katarynce!

I nagle dwie wielkie łzy błysnęły z pod spuszczonej powiek grajka i zsunęły się po wybladłych policzkach.

Melodia walca cichnąć i zamierać zaczęła. Do fortepianu podbiegł młodzieniec „wodzirejem“ nazwany.

— Panie! krzyknął — pan zasypiasz!...
Wesoło, panie, wesoło!

Łzy stoczyły się z twarzy grajka i padły na białą klawiaturę.

— Dobrze, panie... wesoło — powtórzył Juljan z dziwną goryczą i w ostatniemu wysileniu począł grać na nowo...

Pary zaczęły kręcić się jak szalone...

Gdy Juljan wszedł do sypialnego pokoju, dzień już był zupełny.

Szare zimowe światło nappełniało mały pokój, zastawiony skromnymi sprzętami; w głowach łóżek świeciły święte obrazki, oprawne w złoczone ramki; komoda, pokryta siatkową serwetą, zastawiona była masą porcelanowych gracików.

W kąciek tualetki, na której duża puszka z pudrem, słoik z *cold-cremem* i flaszeczka wody kolońskiej.

Na oknie doniczki liljowych hiacyntów i kanarek, smutny, osowiały...

Juljan z trudnością dostał się do domu. Drżał cały i był okryty zimnym potem.

Gdy drzwi otwierał, doznał chwilowego olśnienia.

Zdawało mu się, że upadnie.

Wszedł jednak i teraz stanął przy łóżku żony, trzymając się jedną ręką krawędzi.

Drugą ręką wydobywał z kieszeni fraka tort, cukierek i jakiś order kotyljonowy, znalezione w przedpokoju.

Andzia już nie spała.

Różowa, biała, z jasnymi włosami, potarganymi nad czołem, siadła na łóżku, zapinając ramiączko od koszuli.

Przełknęła kilka razy ślinę i skrzywiła się jak małe dziecko, które ze snu budzą.

— Co było na kolację? — zapytała, nie otwierając oczów.

Lecz Juljan nie odpowiadał.

Pobladł jak trup i zacisnął zsiniałe usta. W piersiach i głowie uczył jakby wielką próżnię — z pod nóg usuwała mu się podłoga.

— Tort! — zawołała Andzia, wyciągając rękę.

Paczka z tortem wypadła z ręki Juljana na kołdrę.

Andzia instynktownie schwyciła ją i macać poczęła.

Na twarzy jej pojawiły się dołki zadowolenia.

Dobre... — wyszeptała — ale co było na kola...

Dokończyć nie mogła.

U stóp jej łóżka Juljan runął nagle na ziemię, zimny, siny, cały skąpany w blasku zimowego ranka.

Włosy zlepięone potem przylegały do skroni, która miała zielonawe odcienie, rozkładającym się trupom właściwe.

Na odgłos upadającego ciała porwała się z łóżka Andzia i otworzyła oczy.

Z ręki wypadł jej kawałek białego tortu, a ona przerażona wpatrywała się w zemdłego męża, którego twarz miała nieruchomość marmurowej bryły.

— Julek! Julek! — wyszeptała wreszcie— to ty się tak tam dobrze bawisz, że aż pijany powracasz do domu?... Wstawaj... wstawaj!... ty... birbancie!

Lecz on leżał wciąż nieruchomy i tylko z pod nawpół przymkniętych powiek lśniły się jego szklane oczy — bez ruchu przed siebie wpatrzone...



ONO.

„A mnie dalej miejsce zrób,
Tylko niezbyt znów daleko;
Dziecko mi do serca daj —
Niech nas jedno kryje wieko.

(Faust. — Scena więzienna).

Więc znów stajesz przedemną z twem wiecznem pytaniem na ustach. W białym welonie pytałaś mnie o... „niego“ — dziś życie i „on“ sam zaspokoili twą ciekawość — a teraz, oblana promieniem przyszłego macierzyństwa, różowa jak zorza poranna, rzucasz mi święte i wielkie zagadnienie, bo prosisz, aby ci powiedzieć coś o... „niem“ — o tym małym sfinksie, który zjawi się nagle w jasnym świetle majowego ranka, jak pierwiosnek z pod śniegu rozkwitły.

I kwiatek ten wiosenny, zrodzony wśród tchnień wielkiej, przeczystej miłości, od aniołów pożyczony promieni, jakie w jego oczętach zadrgają — i uśmiech, jaki zbierzesz z ustek jego, targnie ci w sercu strunę najświętszego uczucia, jakie w piersi kobiety siedlisko ma swoje.

Łzy ci nabiegną do oczu, gdy posłyszysz pierwszy płacz dziecka — łzy radości, przywiązania i wielkiej dumy, że ty życie tworzyć możesz... życie ludzkie!

I łzy te zbliżą cię do Boga — bo choć „ono“ od Niego duszę wzięło, tyś dała mu ciało, w które duszę Bóg przelał. Wielka to i... święta pycha.

Gdy „ono“ do ciebie wyciągnie swe małe rączęta — śpiesz, chwyć je w objęcia... w rączętach tych masz skarby, ukojenie bólu i tęsknoty, ucieczkę przed pokusą, pociechę po „jego“ zdradzie, zajęcie godzin bezczynnych. U kołyski szukaj pociechy, gdy serce twe w ranę się przemieni; u kołyski mów pacierz twój wieczorny, gdy szary welon cieniem ziemię owija! Kołyska — to twój ołtarz, „ono“ uosobieniem najwyższej w świecie potęgi, w „niem“ mieści się zagadka kobiecego istnienia...

Wielka i święta to istota... kobieta - matka! Czy sala balowa, kładąc ci na czoło koronę królowej, da ci ten urok, jaki bije z twej postaci... gdy pochylona wsłuchujesz się w oddech twego śpiącego dziecka? Powiedz, czy szelest twej białej jedwabnej szaty, wlokącej za sobą szmer zdziwionych twą urodą mężczyzn, wyrówna rozkoszy jednej, jedynej chwili?..

Patrz... „ono“ wyciąga do ciebie rączęta!
Słuchaj, mówi jedno tylko słowo:

„Mamo!“

Jakże szorstko, boleśnie brzmi wobec tego srebrzystego dźwięku brutalny szept zakochanego w tobie mężczyzny, który rad ode-rwałby cię od kołyski i zawiódł na bezdroże...
poto, abys już do niej powrócić nie mogła...
nie mogła!

I sąśmy takie nieszczęśliwe, które odla-tują w noc ciemną, nie słysząc słowa „mamo“,
co jak skarga bolesna jęczy za nimi w od-dali!

Potem jesteśmy te konają w bólu i tęsknocie,
bo niema łzy więcej gorzkiej, jak łza, co mat-ce za dzieckiem oko przepala!

Mówiłam już dawniej, że często „on“
w swej pysznej niestałości od ciebie odbiega,
a choć złączony obrączką napozór zostaje —
to dusza jego, serce, wszystko od ciebie da-leko... daleko!

Kochasz twego męża... ach tak — praw-da; lecz w tonie twego listu ja czytam, po-między linjami, że „on“ zaczyna już od ciebie odbiegać... a ty błąkasz się, tłumiąc w sobie cierpienie.

I oto zaczyna się zawód dla ciebie, jasno-włosa marzycielko, która drżąca, z oczyma

wzniesionemi, słuchałaś jak upajającej melodji „jego“ ślubnej przysięgi?...

I oto przed tobą staje cały szereg długich dni samotnych, wieczorów jesiennych nieskończonych, w których tylko plusk deszczu towarzyszyć będzie tęsknocie twojej, szereg nocy bezsennych, czarnych, pomimo błękitnego światła twej jednako płonącej lampy. I patrz, nieszczęśliwa... przed tobą — po drugiej stronie kominka — fotel próżny wyciąga swe ramiona, a ty przez łzy spoglądasz na tę próżnię i w sercu czujesz ból piekący... To „on“ odszedł od ciebie, gardząc twą przeczystą, nieskalaną miłością — to „on“, odsuwając twe świeże, uśmiechnięte usta, biega po świecie, szukając innej rozrywki...

Plączesz... mówiąc, że Bóg jest bezlitośny w swym gniewie — i jasnemi, miękkimi jak jedwab splotami ścierasz łzy, zalewające promienne oczęta...

To pustka pod tobą serce ci rozdziera? mówisz o „śmierci“ — biedna opuszczona? Ty mówisz o skonie, ty, która stoisz na progu życia i powinnaś być tak szczęśliwą?

I nagle przed tobą robi się jasność wielka — patrz! Otrzyj łzy... w pustce tej ciemnej majaczy jakieś światelko... najprzód bladawe, stopniowo nabierające coraz większej światłości.

Nie jesteś już sama! Przed tobą, na pustym fotelu, porusza się maluchna, jasnowłosa istotka; niebieskie pantofelki leżą na dywanie, pantofelki wytarte, z białymi plamkami na noskach; duża piłka toczy się, rzucona swawolną rączką; woskowa lalka topi się przed płonącym ogniem kominka...

Dwoje błyszczących oczu śmieje się do ciebie z pod gęstych, rozrzuconych kędziorów, srebrny głos woła jedno, jedyne słowo:

— „Mamo! Mamo!“

Łzy oschły na twych oczach, uśmiech twarz ci rozjaśnia, serce boleć przestaje — tak wielkie napętnia je uczucie serdeczne.

I jasno teraz w tej ponurej przed chwilą pustce — jasno, ciepło, wesoło... Bo Bóg ten „niesprawiedliwy“ wynagrodził cię jak król za cierpienia twoje.. i srebrnopióry anioł przyniósł ci pociechę, która uśmiech na blade twe wargi wywołać musi — powinna!

Ta pociecha — to... ono „ono“!

I „ono“ zabiera cię teraz na wyłączną własność — tyran to, egoista, samolub bezwzględny. „Mama“ do niego należy — „mama“ w niem tylko istnieje, mówi, żyje, odycha.

Do... „mamy“ nikomu zbliżyć się nie wolno, „mama“ ma zaledwie wolność wzroku, ale i to podlega jeszcze silnej kontroli.

O słodki to despotyzm! Rozkoszna to tyranja, która od pokus świata strzeże i kobiety od upadku chroni!...

I przeczysta ta istota, ten pół-anioł a pół-człowiek, to „ono“ — zjawiające się ze swym promiennym uśmiechem we wspaniałej sypialni magnatki, czy w ciemnej izdebce nędzarki — ma także w sobie moc wielką, niezrównaną. Zmazuje błędy i przewinienia, modląc się do nielitościwych ludzi — do surowego świata... prosząc o przebaczenie dla Małgorzaty, opuszczonej przez Fausta... dla Hagary, dla Leili — dla tylu, tylu innych kobiet, które, tonąc w przepaści, macierzyństwem niemal odkupione zostały! „Ono“ — to anioł przebaczenia, odpoczynku, miłości...

„Ono“ — to anioł, gołąb spokoju, zjawiający się nagle wśród ciemnej, rozpacznej nocy!

„Ono“ — to jutrzienka odrodzenia!

„Ono“ — to symbol świętości kobiety!

I bardzo, bardzo często istota obłąkana, odepchnięta przez wszystkich, która jedynie śmiech rozpusty słyszała dookoła — kona, słysząc głos swego dziecka...

Na tej twarzy zwiędniętej, jak kwiat pod upalnym słońcem — na tych ustach, spalonych żarem bezsenności, zjawia się wielki, przeczysty majestat. Jakieś niewysłowione szczęście, rzewne uczucie miłość do wszelkich

poświęceń zdolna, opromienia rysy nieszczęśliwej. I miłość ta pozostaje na stygnącej twarzy i trup matki zimny, nieruchomy, zda się jeszcze wsłuchiwać w głos płaczącej dziewczyny — trup, przeistoczony nagle... szacunku się domagający...

„Ono“ zostaje wprawdzie rzucone na pastwę losu, nędzy i niedoli; tuła się wśród obojętnych, nie mając gdzie swej drobnej główki złożyć; często zamiera z głodu i zimna, często wyrasta z niego zbrodniarz; lecz w pierwszej chwili swego istnienia „ono“, jak brzask porannej jutrzemki, kładzie promień czystości na czoło matki, śpiącej pod zimną mogiłą. Twoje „ono“ nie będzie miało takiej smutnej doli. Wesole, uśmiechnięte, szczebiotać będzie od rana do nocy, wiecznie zaplątané w fałdy twej sukni. I ciągle, bezustannie *pytać* cię o wszystko będzie.

Zważ dobrze odpowiedzi swoje! Nie rzucaj ich bezmyślnie. Często bajka, z ust matki o szarej godzinie zasłyszana, kieruje życiem dziecka; wspomnienie pacierza, na kolanach twych zmówionego, ocalić czasem może od moralnej zguby córkę twą, w wir świata rzuconą!

Nie szczędź dziecku pieśczot — nie odsuwaj jego wiecznie zbrukanych rączek pod pozorem splamienia kosztownej sukni; „ono“ — to mimoza, byle co je uraża, chłodzi, odsuwa.

Urażone, nie powraca więcej, kryjąc smutek w głębi swej małej istotki. Jest jak kwiat zwrotnikowy, obracający się za słońcem! Słońce — to miłość twoja... nie skąp więc swych promieni. A miłość macierzyńska to tak wielka potęga! To otchłań pobłażania, pociechy, pomocy, najwyższego piękna! Wszak „Stabat Mater“ — to szczyt muzycznego natchnienia! „Ave Maria“ to najpiękniejszy śpiew Szuberta!... Promienie macierzyńskiej miłości biją z Sykstyńskiej Madonny i świat cały przed nią na kolana pada.

Miłość matki — to ideał!

I przed tym ideałem kona uśmiech scep-tyka, wobec łkającej matki nad trumną dziecka, milknie śmiech rozpusty i czoła się ku ziemi chylą — i jęk matki potrafi oddalić śmierć od łoża syna i wrócić życie w stygnące piersi córki...

Powiedz więc teraz ty, któraś o śmierci mówiła przed chwilą — czy możesz nazwać się nieszczęśliwą, mając taką nić złotą w przędzy swego życia? Pochyl się nad kołyską, w której spać będzie „ono“ — a troska twa zniknie, świat cały rajem ci się wyda!

Lecz ty wspominasz mi, że narzeczoną jeszcze będąc, widziałaś przez okienko suteny obraz, który wpił się w twą duszę i teraz ciągle przed tobą majaczy.

Mówisz, że nad ubogą kołyską, w której śmiało się „ono“, schylało się *dwoje* ludzi, obejmując się miłosnym uściskiem. Odeszłaś spłoniona cała i drżąca, lecz w głębi duszy uniosłaś odbicie tego jasnego obrazu.

Tak! Tam było ich „dwoje“, śledzących uśmiech dziecka, dwoje ich opromieniał wyraz dumy i radości, we „dwoje“ snuli plany i marzenia, których celem było „ono!“ Nie trać nadziei! Rozpogódź czoło. „Ono“ mówiłam ci, to potęga wielka, „ono“ ma władzę cudowną...

Naucz twego syna wołać głośno: „tata!“ — a kto wie, może „ono“ ci „jego“ powróci!



TREŚĆ:

1. Krzyż pański.
2. Wspomnienie.
3. Szczęście.
4. Męska łza.
5. Serce.
6. Jej uśmiech.
7. Gdybyś ty ożył.
8. Portjerka.
9. Pierwszy śnieg.
10. Z minionych chwil.
11. Ona.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA „LEKTORA“.

GABRJELA ZAPOLSKA

A GDY W GŁĄB DUSZY WNIKNIEMY.

Autorka „wchodzi w labirynty psychiki ludzkiej, dociera do źródeł życia głębokiego, do tych jego wirów, w których kłębią się i szamocą z bólu dusze żyjących“ (przedm. Wł. Jabłonowskiego). Powieść o wysokim dramatycznym napięciu — prawdziwa tragedia myślącej duszy ludzkiej.

GABRJELA ZAPOLSKA

MENAŻERJA LUDZKA.

Wspaniała, w formie szkiców powieściowych ujęta, galerja typów i charakterów. Autorka wyławia wprost z życia wszystkie „Dulskie“ i „Dulskich“, odtwarzając w kilkunastu pozornie odrębnych nowelkach zamkniętą i kompletną „menażerję ludzką“.

GABRJELA ZAPOLSKA

PAN POLICMAJSTER TAGIEJEW.

Powieść na tle stosunków w b. zaborze rosyjskim z czasów przed rewolucją w 1905 r. Odznacza się niezwykłą nawet u Zapolskiej plastyką i przykuwa czytelnika nadzwyczaj szybko toczącą się i interes. akcją.

GABRJELA ZAPOLSKA

PANI DULSKA PRZED SĄDEM.

Prześmieszne i przesmutne zarazem studjum z natury — dalszy ciąg „Moralności Pani Dulskiej“. Książka bogato ilustrowana.

GABRJELA ZAPOLSKA

PRZEZ MOJE OKNO.

Cykl świetnych, niezwykle zajmujących impresyj i feletonów zmarłej autorki — prawdziwa skarbnica jej przeżyć, uczuć, myśli i wskazań etyczno-społecznych.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA „LEKTORA“.

GABRJELA ZAPOLSKA

STAŚKA.

Perły literatury nowelistycznej — obserwacje z życia, oddane z niezwykłą prawdą i siłą — a będące równocześnie głębokiem studjum psychologicznem.

GABRJELA ZAPOLSKA

SZMAT ŻYCIA.

Szmat życia, zmarnowany przez istotę najlepszą, o gołębiem sercu i niezłomnym charakterze, ale bez znajomości samego życia i krętych dróg, któremi ono ehadza, nieprzygotowaną do walki z całą „menażerją ludzką“, która ją zewsząd otacza.

GABRJELA ZAPOLSKA

WE KRWI.

W przepięknej tej i z niezwykłą prawdą napisanej powieści autorka z właściwym sobie artystyzmem „chwyciła życie na gorącym uczynku“, gdy ono swą brudną stopą depce i łamie bezlitośnie egzystencję młodą, zaklętą w ciasnym kręgu szarych obowiązków, poświęceń i samozaparcia.

GABRJELA ZAPOLSKA

ZASZUMI LAS

(2 tomy).

Powieść z dziejów rodzącej się młodej Polski, tej Polski, która, pracując w podziemiach, w kraju i zagranicą i nie bacząc na ofiary krwi życia i mienia, przygotowywała cud dni dzisiejszych.

215 102/10/69

30

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA

8713

~~LAP~~

Biblioteka WSP Kielce



0173880



H. NEUMANA